№ 14. Warszawa, dnia 3 Kwietnia (22 Marca) 1886 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

POLITYKA.

ROZRUCHY W BELGII.

Pomimo że czas obecny nie jest ubogi w zawichrzenia robotnicze, które ustawicznie wybuchają na różnych punktach świata ucywilizowanego, burza belgijska jest chyba rozmiarami największa. W tej chwili ogarnęła ona niemal kraj cały, a trudno upewnić, że się nie przeniesie do sąsiednich. We wszystkich niemal ogniskach przemysłowych zawieszono prace, robotnicy zbierają się w liczne gromady, odbywają wiece i pochody, wojsko opanować ruchu nie może. Wichrzyciele zachęcają do rabunków i morderstw. Nie brak naturalnie we wrzeniu i głosów rozważniejszych. Redaktor pisma *Peuple*, mówiąc na jednem z zebrań o wypadkach w Liège, skąd lawa wypłynęła, rzekł: „Wypadki te przejmują mnie smutkiem bardziej, niż jakiegoś mieszczanina, gdyż one mojemu stronnictwu szkodzą. Sprawcami ich byli nieszczęśliwi, których zbłąkał głód i którzy nie ulegali wpływowi socyalistycznemu. Partya robotnicza nie posiada tam żadnej organizacyi; gdyby ją posiadała, nie wynikłyby zaburzenia. Rząd pobiłby nas, bo wie, że jesteśmy słabi." Słuchacze oklaskali go, co im nie przeszkadzało oklaskać następnego mówcę, który doradzał rewolucyę natychmiastową.

Mamy więc przed sobą obraz dobrze znany: robotnicy, niezadowoleni z warunków i braku pracy, zmniejszonej skutkiem wprowadzenia nowych maszyn i zastoju handlowego, buntują się; za ich przykładem spieszą inni; gdy potok nabrzmieje, jedne jego fale usiłują zerwać brzegi wraz ze wszystkiem, co na nich stoi, inne chcą płynąć spokojnie aż do czasu, kiedy będą mogły rozlać się szeroko. Słuszność miesza się tu z drapieżnością, rozsądek jest zakrzyczany przez bezmyślną dzikość, nędza stoi obok rozboju, krzywda obok gwałtu, a roznamiętniony tłum jednaką sympatyą darzy wszystkie te głosy. Zrozpaczony biedak wyznaje (w *Meuse*): „Pracujemy dziennie 13 godzin za 2 do 3 fr. Dobre półmiesiąca przynoszą nam tylko 26 fr., za które nie możemy utrzymać rodzin. Nadto obcinają nam zarobki, nie uprzedziwszy o tem. Dopiero w dniu wypłat dowiadujemy się, że dostaniemy mniej o 10 lub 20 centimów na dzień." Ale za tym biedakiem idzie anarchista, który go podnieca i doradza wyprawę na — bogate sklepy.

W ostatniej mowie swojej (26 marca) ks. Bismark, naginając sejm strachem do swej woli, rzekł: „Pierwsze wojny francuskie w r. 1792 przenikała idea polityczna, która udzieliła się ruchowi całego świata. Nie ulega wątpliwości, że owe ideje, które chorągwie francuskie ogłosiły w kraju — walka przeciwko monarchii, duchowieństu i szlachcie, walka w obronie stanu trzeciego były potężną dźwignią zwycięztw francuskich. Gdybyśmy kiedykolwiek znowu musieli prowadzić wojnę z tym krajem, kto panom ręczy, że nie otrzymalibyśmy dalszego ciągu, niejako czwartej części tego samego dzieła, że nie ujrzelibyśmy na sztandarach armii nieprzyjacielskiej, na jej czerwonych sztandarach idej socyalistycznych?.. Słowem, jeżeli znowu kiedyś nastąpią wielkie wstrząśnienia europejskie, będą one daleko bardziej złożone, aniżeli te, które mamy za sobą, a po części międzynarodowe."

Kanclerz niemiecki w dniu tego proroctwa już otrzymał szczegółowe doniesienia o wypadkach belgijskich; mogły one nastroić go odpowiednio tem łatwiej, że przychodziły mu w porę. Przyznać jednak trzeba, że w owej wróżbie drga promień jasnego widzenia w przyszłości. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Europa nie uniknie „wielkich wstrząśnień," jeżeli zaś one przyjdą, to niezawodnie przyjdą ze sztandarem nowej idei.

O tyle też tylko mają rozruchy belgijskie znaczenie ogólniejsze — jako dalszy ciąg dojrzewania owego kataklizmu, o którym wspomniał Bismark. Najświeższe telegramy malują obraz czarno. „Zmowa robotników — mówi depesza wtorkowa — zamienia się prawie w wojnę domową. Wojsko w liczbie 8,000 ludzi działa bezskutecznie, z powodu, że oprócz obrony, musi obsaczać zagrożone miejscowości. W okręgu Charleroi ogłoszony został stan oblężenia. Oddział wojska obwołał rzeczpospolitą. W Marchienne, Gilly, Ligny, Aman, Sombreffe, Lalouviere, Manage, Conillet, Farciemes, Francières, Poulez, Falaisol, Roux, Lodelinsart, Marcinelle, Fontaine, Anderlue, Pietoux, Borinage, robotnicy zawiesili roboty; zaszły rabunki i krwawe walki. Wszędzie wielu zabitych i rannych. Kobiety uzbrojone w haki i drągi przyjmują udział w walkach, dopuszczają się rabunków i piją. Największa huta szklana Bandoux w Jumet, podczas kiedy 600 ludzi w niej pracowało, została zrabowana i spalona. Również spalone zostały zamek i klasztor w Soleilmout. Zakonnice nieubrane uciekły przez tylne drzwi. Zrabowano również jatki rzeźnicze. Wszędzie odbywają się meetingi. Huty żelazne w Mariemont spalone. Na fabrykę szkła w Couillet napadło 1,500 wichrzycieli, którzy dopuszczali się gwałtów na oficerach. Telefony, a po części telegrafy zniszczono. Młyny w Tahon obsaczone. Nowe bezrobocia wybuchły w Petitry, Hazard, Fleurus, gdzie stoczono bitwę ze strażą narodową. Mieszkańcy zbroją się dla obrony. Zamek Bron zrabowany, również kopalnie w Ormont. W Bruksellі rozrzucono listy grożące eksplozyami."

Dyabeł istotnie straszny i niemalowany. Trzeba wierzyć lepiej słowom wzmiankowanego redaktora, że „jeszcze nie nadszedł czas dla stanu czwartego, nadszedł dopiero czas dla jego wichrzycieli.“

PRASA POLITYCZNA W CHWILI OBECNEJ.

Fakt zabawny, a zarazem znaczący zdarzył się w Ulmie d. 6 marca r. b. Dzień ten jest świętem patrona, czy też rocznicą urodzin, wstąpienia na tron, koronacyi — nie wiem czego — szczęśliwie panującego obecnie królestwu Wirtemberskiemu monarchy. W dniu tym po kościołach brzmią hymny dziękczynne, mieszkańcy kraju się cieszą, a dzienniki na miejscu naczelnem ogłaszają artykuły pełne namaszczenia patryotycznego — poważne i tkliwe zarazem. Proza ta poetyczna popisuje się rok rocznie. W Ulmie wychodzą dwa dzienniki: *Schnellpost* i *Tagblatt*, zgadzające się z sobą w jednym tylko punkcie — w patryotyzmie, nacechowanym wiernością dla tronu, zresztą w niczem. Jeden jest organem prawicy, drugi lewicy. Gdy jeden widzi biało, drugiemu w oczach kolor biały zmienia się na czarny. Polemizują z sobą zawzięcie, jeden z drugiego drwi — jeden drugiego wyszydza. Po za wiernością dla tronu nie ma pomiędzy nimi nic wspólnego, a i wierność swoją każdy z nich wyraża inaczej. Owóż w dniu wyżej przytoczonym zdarzyło się tak, że czytelnicy znaleźli w *Sznellposcie* i w *Tagblacie* patryotyzm wypowiedziany zupełnie jednakowo. W obu pojawił się artykuł jeden i tenże sam. Ani jedna litera, ani jeden znak przestankowy różnicy nie stanowił. Publiczność czytająca zdziwiła się mocno. Co to się stało? Czy się te nieprzyjazne organy opinii publicznej pogodziły? Czy też kto z poza grona redakcyjnego artykuł im swój jednocześnie podsunął i każdy z dzienników tego był przekonania, że podsunął jemu tylko? Wreszcie, wskutek poszukiwania, odnalazł się klucz zagadki pod postacią artykułu tegoż samego lat temu kilka w jednej z gazet sztuttgardzkich drukowanego. Dzienniki ulmskie artykuł ów dosłownie powtórzyły i — w ten sposób cudzym kosztem zaświadczyły patryotyzm swój i swoje do tronu przywiązanie. Wypadek ten w chwili obecnej bawi niemców południowych ogromnie.

Jest on — zdaniem mojem — nietylko zabawny, ale oraz i znaczący. Służyć on może za miarę szczerości przekonań w obozie tak jednym, jak drugim. Dzienniki pomienione przedstawiają dwa obozy przeciwne: konserwatywny i liberalny, z których każdy ma pretensyę do mówienia prawdy. Cóż to za prawda, do wyrażenia której słowa kraść potrzeba? Prawda taka nie opiera się na przekonaniu wewnętrznem— nie płynie z głębi duszy: jest pożyczoną i do okoliczności przystosowaną. Nie jest to więc prawda.

Wypadek ten pojedynczy niczegoby nie dowodził, gdyby nie istnienie funduszu gadzinowego, będącego nawozem, dzięki któremu wzrastają i plenią się organy opinii publicznej sztuczne. Jak *Schnellpost* i *Tagblatt* wzięły żywcem z gazety sztuttgardzkiej artykuł, tak *Norddeutsche Allgemeine Zeitung*, *Schlesische Zeitung*, *Kölnische Zeitung* i mnogość innych *Zeitungów* czerpie z biura prasowego wskazówki, a kto wie, czy nie artykuły gotowe. Co do artykułów gotowych, dozwolonem jest podejrzenie, które — co do wskazówek — jest pewnością zupełną. Inaczej być nie może. Fundusz gadzinowy sam przez się nie posiada własności udzielania autorom natchnień i daru proroczego. Bez natchnień właściwych nie byliby oni w stanie odgadnąć zamiaru kanclerza wytoczenia żywiołowi polskiemu wojny.

Dobrze jest przypomnieć sobie, jak do tego przyszło. Nienawiść międzynarodowościowa, jak długo nie pojawiły się rozdmuchujące ją mieszki, prawie nie istniała. Polacy się niemczyli, niemcy polaczyli — i nie zawadzało to ostatecznie ani tym, ani tamtym. Usuwała się ziemia z pod nóg wielkim panom polskim, na miejsce których przychodzili wielcy panowie niemieccy; o nich atoli, jak i o tych, co od stóp swoich ziemię uwalniali, powiedzieć można było: "Plunmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi." W głębi panowała harmonia, zamącana od czasu do czasu, znośna jednak. Mimo wszelkie szykany, które w Berlinie obmyślano, wytrzymać jeszcze można było.

Szykanom tym wtórowała ustawicznie prasa, której organy, jedne zbliska, drugie zdaleka, pełniły funkcyę gończych, przez dojeżdżacza do knieji wprowadzonych i złażących się na tropach. Te na oko goniły, pogoniły czas jakiś i ucinały; inne zławiały się ustawicznie. *Der schwarze Jäger* z harapa palił i w trąbkę uderzał. „Na ci!... na tu!... dalej-że, dalej, z tropu w trop!...“ Prasa naszczekiwała; od czasu do czasu odzywał się głos książkowy ogara, co zwierzynę nietylko zgonić, lecz dojść i zębami chwytać umie. Wspomnienia te przychodzą nam obecnie do głowy żywo i poznać dają rolę, jaką w odniesieniu do nas odegrały pisma, przemawiające z takim samym zapałem i z takiem-że przekonaniem, jak dwa dzienniki ulmskie.

— Na ci!... na tu!...

Na drodze gonienia tego odezwał się i głos Hartmana, który w wyrazie *„ausrotten“* połączył głosy rozstrzelone różnych *Zeitungów*. Wszystko to szło zdaleka, przygotowywało się zawczasu i wprawiało nas jeno w podziw; nam bowiem, gdyśmy o sobie samych myśleli, wydawało się, żeśmy tak dalece zmarnieli, iż na nas już pies żaden nie szczeknie. Czyśmy to tak, godząc się wedle recepty stańczyków z losem, albo raczej z losami, nie myśleli? Mimo to, gonienie łai gadzinowej szło porządkiem swoim i oswoiło słuch nasz ze sobą tak, żeśmy przy niem najspokojniej w świecie drzemali i, zdawszy sprawę na kościół, gniewali się na tych, co nas od czasu do czasu szturchali i wołali: „A ziemia!..“ Kościół, który nas w Kiwerowej Horce tak ongi obdyplomatyzował, w dyplomacyi przecie biegłym jest... Mniejsza jednak o nas. Zachodzi tu kwestya inna: kwestya roli, jaką w nagonce tej prasa odegrała.

Rola prasy politycznej przedstawia się, krótko a zwięźle powiedziawszy: ohydnie. Czyż bowiem może być co ohydniejszego, jak patryotyzm płatny?

Wyobraźmy sobie co ohydniejszego.

Znamy prasy rozliczne. Rozpatrując się w sposób porównawczy w organizacyi i naturze każdej z osobna, można ją wedle narodów rozdzielić na dwa rodzaje: uczciwy i nieuczciwy. Do pierwszego należy: angielska, szwajcarska—zapewne hiszpańska, skandynawska etc. — no i nasza. Nie wymieniam tu pras narodów, niemających jeszcze pewnej podstawy literackiej. W drugim zachodzi stopniowanie. Prasa włoska byłaby uczciwą, gdyby w niej nie bruździli spekulanci, którzy ją obracają na narzędzie wyzysku. Niewszystkie atoli dzienniki włoskie w uprzęży tej paradują. Większość trzyma się niezależnie — boso, ale z kordem, wypowiadając przekonania, jakie wyznaje. Z prasą francuską rzecz się ma inaczej. We Francyi dziennik każdy jest przedmiotem spekulacyi, wyrażającej się za pomocą towarzystwa akcyjnego. Na cel ten składają się ludzie przekonań jednakowych, nie zaprzysięgają jednak na

POWIEŚĆ.

CZYSTE SUMIENIE

przez

Aleksandra L. Kiellanda.

Przed ogrodową bramą willi Abel zatrzymał się mały, elegancki powóz, zaprzężony w dwa dobre i czysto utrzymane konie. Na uprzęży nie było ani srebra, ani innych metali; wszystko matowego, czarnego koloru, a sprzączki bez blasku. Lakierowanie powozu miało trochę ciemnozielonawy odblask, poduszki skromne, piaskowej barwy i dopiero zbliska można było zauważyć, że wnętrze powozu wybite najcięższą materyą jedwabną.

Stangret wyglądał jak par angielski — w czarnym, pod szyję zapiętym płaszczu, z małym, wystającym kołnierzem i białym krawatem.

Pani Warden, która siedziała w powozie, wychyliła się cokolwiek naprzód, nacisnęła białą ręką klamkę z prawdziwej słoniowej kości. Następnie otworzyła, wysiadła powoli, pociągnęła za sobą długi ogon i troskliwie zamknęła drzwiczki.

Wyglądało dziwnie, że stangret nie zsiadł, żeby jej dopomódz; dobrze utrzymane konie nie pomyślałyby o figlach, gdyby im cugli popuścił. Lecz wystarczało rzucić porównawcze spojrzenie na spokojną twarz stangreta i na powóz bez najmniejszej skazy, ażeby dojść do wniosku, iż jest to mąż, który wie, co czyni, i który nigdy nie zaniedbuje żadnego ze swych obowiązków.

Pani Warden przeszła przez mały ogródek, otaczający dom mieszkalny i wstąpiła do salonu. Drzwi, prowadzące do następnego pokoju, były otwarte: tam zobaczyła gospodynię domu przed dużym stołem, założonym stosami jasnych materyj i numerami *Bazaru*.

— Ach, jakże w porę przychodzisz, droga Emilio! — zawołała pani Abel. — Straciłam zaufanie do mojej krawcowej; nie może ona wpaść na coś nowego; siedzę też tu sama i szukam w *Bazarze*. Moja duszo, odpocznij i dopomóż; idzie mi o suknię spacerową.

— W wyborze tualety jestem najmniej uzdolnioną — odparła pani Warden.

Poczciwa pani Abel spojrzała na mówiącą; było coś niepokojącego w jej tonie, a pani Abel niezwykły szacunek miała dla swej pozyjaciółki.

— Przypominasz sobie zapewne, opowiadałam ci niedawno, mąż mi obiecał, to jest — poprawiła się pani Warden — prosił, żebym obstalowała sobie nową jedwabną suknię...

— U pani Labiche; tak, wiem o tem — przerwała pani Abel — i zapewne teraz jedziesz do niej?!.. Ach, zabierz mnie z sobą; to tak zajmujące!

— Nie jadę teraz do pani Labiche — odpowiedziała prawie uroczyście pani Warden.

— Mój Boże, dlaczegóż nie jedziesz? — zapytała jej przyjaciółka, a skromne, duże jej oczy przyjęły w zadziwieniu prawidłową formę koła.

— Właśnie, miałam zamiar ci to powiedzieć — odparła pani Warden. — Sądzę, że nie wydawałybyśmy tak ze spokojnem sumieniem tyle pieniędzy na błachostki, gdybyśmy wiedziały, że na przedmieściach, nawet w środku miasta, gdzie *my* mieszkamy, znajdują się setki ludzi, którzy cierpią nędzę, literalnie nędzę!

— Tak — zaczęła pani Abel i rzuciła niespokojne spojrzenie na stół — lecz jest to już tak raz na zawsze na tym świecie; wszak wiemy, że nierówność...

to, że akcyj z rąk wypuszczać nie będą. Nikt od nich nie nabywa, jeżeli dziennik źle stoi; gdy jednak idzie w górę, nastręczają się nabywcy, pomiędzy którymi najbardziej natarczywym bywa jeden z bankierów. Ten cenę ofiaruje wysoką, wyławia akcyj połowę więcej jedna, zamyka je w biórku i staje się przez to spólnikiem, posiadającym głos najważniejszy. Głos ów służy mu wyłącznie dla interesów jego własnych; nie obchodzi go kierunek polityczny dziennika tak dalece, że w Paryżu niejeden bankier jest spólnikiem tego rodzaju kilku wręcz przeciwnych politycznie dzienników. W ten sposób na prasie francuskiej cięży *la haute finance*. Dziennik każdy wpływowy ma spólnika, którego proteguje i który część swoją dochodów pobiera. Po za tem jednak dziennik kieruje się wedle przekonań, jakie wyznaje skład redakcyjny. W razie, gdy spólnik główny na przekonania nacisk wywrzeć zamierza, wówczas biuro całe podaje się do dymisyi. Są przeto w prasie francuskiej dwie strony — jedna zamaskowana, druga jawna — i dwustronność ta pozbawia ją tego charakteru, jaki dbająca o cześć swoją prasa mieć powinna. Dodać również potrzeba, że na korporacyi dziennikarstwa francuskiego cięży misa soczewicy, za jaką się niektórzy jej członkowie sprzedawali. To się, niestety, zdarzało. Cień Sainte-Beuva nie chodzi po polach elizejskich z czołem podniesionem. Ze względu więc na to, jakoteż na ciężenie finansowe, nie odegrywa ona w życiu politycznem tej roli, jakiej wobec wielkiego i ważnego zadania Francyi należałoby wymagać. Z tem wszystkiem niemiecka daleko ją na drodze nieuczciwości politycznej po za sobą zostawia. Tamta choruje na spólników i na wyciągających po srebrniki i dekoracye ręce jednostek, ta się wprost wynajmuje i sprzedaje. Handel ten odbywa się zarówno w Wiedniu, jak w Berlinie. W Wiedniu dawniej istniał dziennik uczciwy, *Wanderer*, ale się utrzymać nie mógł. Redakcye pism politycznych austryackich poobsiadali handelesi piórowi, w oczach których idee, zasady, przekonania mają wartości tyle, o ile się opłacają. Nad modrym Dunajem nie ma dziennika, coby stał o siłach własnych; nie masz, któryby papierków, łapówek i schweiggeldów nie brał; wynajmuje się i sprzedaje każdy bankierom, towarzystwom, grupom politycznym, prowadzącym interesy. Są to fabryki reklam, zaprawianych wymową publicystyczną i tem wymowniejszych, im lichszy mają do zalecenia towar. Prasa, przy berlińskim grzejąca się ogniu, nielepiej wygląda; najsmutniejszy jednak obraz przedstawia ta jej część, co na żołdzie pozostaje.

Co sobie rozdawca żołdów myśli?

Łatwo — zdaje się — zrozumieć, że szczepienie zepsucia nie może wydać rezultatów dobrych. Przyrównaćby to można do zatruwania mleka w krowach. Handlarze nabiału, dla powiększenia wydoju, karmią krowy preparatami, które ilość mleka zdwajają, lecz i mleko zatruwają i same krowy o śmierć przyprawiają. Takich samych rezultatów oczekiwać należy po prasie przedajnej. Zadanie prasy polega na wyrażaniu opinii, na wypowiadaniu potrzeb i żądań ogółu. Służyć rządowi może ona pod jedną tylko postacią: ogłaszając postanowienia i rozporządzenia, o których publiczność wiedzieć powinna. W państwach zwłaszcza, w których ogół za pośrednictwem parlamentu przyjmuje udział w kierownictwie sprawami publicznemi, rząd do opinii ogółu, nie zaś ogół do opinii rządu stosować się winien. Gdy się dzieje odwrotnie, władza gwałci naturę własną, fałszuje sama siebie i wytwarza pomiędzy sobą a narodem nieporozumienia, które muszą doprowadzić do następstw smutnych. Mamy zresztą tego przykład w oczy bijący. Ten sam, jota w jotę, stan, jaki obecnie w Niemczech panuje, wytworzył dla Francyi Napoleon III. Tak samo rząd utworzył sobie prasę płatną, tak samo opinią publiczną kierował, tak samo nawet vice-cesarz, p. Rouher, z trybuny parlamentarnej przemawiał. Dzienniki, broszury, książki przysposabiały zdaleka fakty, których dokonanie było zamiarem władzy. Tożsamość jest zupełna, naśladownictwo ślepe. Pamiętnem jest pyszne rouherowskie: „nigdy!", po którem niezwłocznie prawie przyszły ustępstwa i spowodowały upadek dzieła „geniuszu napoleońskiego." Gdy władza posługuje się prasą płatną, jest to znak niezawodny zdezelowania się maszyny państwowej i potrzeby wiązania jej sznurkami. Maszyna taka czas jakiś funkcyonować i burczeć głośno może. Lecz sznurki się rozluźniają, psują i pękają w końcu. Prasa przekupna jest na polu działalności politycznej narzędziem najgorszem, lubo dla „geniuszów" bardzo ponętnem. To tak miło — umysłami rządzić!... opinię publiczną miąć i naginać i za pośrednictwem słowa drukowanego racyę sobie zawsze z góry i z dołu przyznawać! Do czasu jednak sztuka uchodzi. Wypadeczek, jaki spotkał dzienniczki ulmskie, jest ilustracyą nicości opinii, której za wyraz służy obecna polityczna prasa niemiecka. Wypadeczek ten niemców do śmiechu pobudził. Zdaje się, że śmiać się z tego nie im, ale chyba nam przystoi.

T. T. Jeż.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Rokowania mocarstw w sprawie rumelijskiej trwają ciągle, ale położenie rzeczy nie zmieniło się. Książę Aleksander na 5-letnią nominacyę bezwarunkowo zgodzić się nie chce, Rosya zaś domaga się koniecznie wstawienia tego warunku w tekst umowy. Rząd włoski wystąpił z pośrednictwem, zaproponował on, żeby każdy książę bułgarski, bez względu kto nim będzie, sprawował urząd generał-gubernatora Rumelii. Ale w Petersburgu odrzucono i ten wniosek, chociaż oświadczyły się za nim podobno Anglia i Francya. Tymczasem książę bułgarski nie upada na duchu i przeprowadza zjednoczenie praktycznie, znoszące wszelkie odrębności w zarządzie obu krajów. W ostatnim czasie rozeszły się pogłoski, że w razie, jeżeli mocarstwa nie zgodzą się na jego żądanie zamierza on ogłosić się królem bułgarskim.

Można było przewidzieć, że to nowe zawikłanie stosunków na półwyspie Bałkańskim wskrzesi wojownicze zamiary greków, jakoż rzeczywiście rząd ateński gotuje się do działania. Powołano pod broń dwie ostatnie rezerwy i przyspieszono uzbrojenia. Turcya również trzyma swe siły wojenne w gotowości do boju.

Na miejsce Chamberlaine'a i Trevelyana, którzy wreszcie po długiem wahaniu wystąpili z gabinetu, mianowani zostali Stanfield i Dalhousie. Pomimo odszczepieństwa garstki radykałów, Gladstone już w pierwszych dniach kwietnia wniesie do parlamentu t. z. projekty irlandzkie. Na pierwszy ogień pójdzie projekt oddzielnego parlamentu, a potem dopiero bill o wykupie własności ziemskiej. Ten ostatni nadspodziewanie znalazł poparcie wielu landlordów, którzy wolą otrzymywać pewną rentę aniżeli niepewny czynsz gruntowy. Rozprawy nad projektem samorządu Irlandyi rozpoczną się już 8 kwietnia. Bill ustanawia oddzielny parlament, ale ogranicza władzę jego do spraw czysto miejscowych.

— Powinniśmy powstrzymać się od powiększania nierówności i robić wszystko, co jest w naszej mocy, ażeby ją złagodzić — ciągnęła dalej pani Warden. A pani Abel wydało się, jak gdyby jej przyjaciółka spojrzała złośliwie na stół, założony materyami i *Bazarem*.

— Wszak to tylko alpaga — zauważyła z niepewnością.

— Na miłość boską, Karolino — zawołała pani Warden — nie sądź, że chciałam ci zrobić jakiś zarzut. Są to rzeczy, które zupełnie zależą od zapatrywań jednostkowych. Każdy powinien tak postępować, żeby być czystym wobec swego sumienia.

Rozmowa ta przeciągnęła się jeszcze kilka chwil; pani Warden oznajmiła swej przyjaciółce, że ma zamiar wyjechać do najbiedniejszych zaułków i przekonać się własnemi oczami o stosunkach pośród biedaków.

Onegdaj czytała sprawozdanie roczne jednej prywatnej instytucyi dobroczynnej, której członkiem był jej mąż. Pilnie starała się zebrać dokładne wiadomości u policyi i towarzystwa dobroczynności, miała bowiem bardzo słuszny zamiar odszukać nędzę, poznać i wtedy dopiero pomódz.

Damy rozstały się chłodniej, niż zwykle. Obie były w poważnym nastroju.

Pani Abel została w salonie; nie miała już chęci zająć się spacerową suknią, chociaż materyał był rzeczywiście bardzo piękny. Słuchała cichego turkotu powozu odjeżdżającego, który sunął się przez równą ulicę, prowadzącą śród willi bogaczy.

— Co to za złote serce ma ta Emilia! — westchnęła.

Nic nie mogło być bardziej obcem charakterowi tej dobrej pani, niż zazdrość. A jednak opanowało ją w tej chwili uczucie, przez które nie mogła oderwać oczu od oddalającego się powozu. Lecz niełatwo było określić, czy dobre serce przyjaciółki, czy też lekki, elegancki powóz był przedmiotem jej zazdrości.

Stangret miał już dawno dane polecenie, ażeby ani jednej chwili darmo nie stracił. A ponieważ wątpliwości były obce jego głowie, więc jechał przez najdziwaczniejsze uliczki i zaułki miasta biednych z taką miną, jak gdyby na bal dworski.

Wreszcie otrzymał rozkaz, ażeby się zatrzymał; była już pora po temu, gdyż ulice stawały się coraz węższe i jeszcze chwila, a śliczny powóz i dobrze utrzymane konie, utkwiłyby w zaułku, jak korek w szyjce butelki.

„Niewzruszony" nie okazał najmniejszej oznaki niepokoju, chociaż położenie rzeczywiście stawało się drażliwem. Jakiś ulicznik, wysadziwszy głowę przez otwór w dachu, radził mu zabić zaraz na miejscu konie, bo nigdy się stąd żywcem nie wydobędą.

Pani Warden wysiadła i skręciła w jeszcze ciaśniejszą ulicę, chciała bowiem wyszukać coś już najgorszego.

W drzwiach stała napół rozwinięta dziewczyna.

— Czy w tym domu mieszkają bardzo biedni ludzie? — zapytała ją dama.

Dziewczyna roześmiała się i odpowiedziała coś, przecisnąwszy się obok pani Warden przez wąskie drzwi.

Pani Warden nie zrozumiała tej odpowiedzi, lecz wydało jej się, że dziewczyna powiedziała coś brzydkiego. Weszła do pierwszej z brzegu izby.

Nie było dla niej nowością, że biedni ludzie nigdy dostatecznie nie wietrzą swych mieszkań. Lecz teraz została tak odurzona tą atmosferą, którą oddychać zaczęła, że z chęcią usiadłaby na ławce, stojącej przy piecu.

W ruchu ręki, którym znajdująca się w izbie kobieta zrzuciła leżące na ławce ubranie, i w uśmiechu, z którym prosiła delikatną damę usiąść, było coś, co zakłopotało panią Warden. Doznała takiego wrażenia, jak gdyby ta biedaczka miała kiedyś lepsze czasy, chociaż rodzaj jej po-

Rozruchy anarchiczne w Belgii obejmują coraz szerszy zakres. Szczegółowo o tej sprawie mówimy na innem miejscu, tu zaznaczamy tylko, że wrażenie jakie wywołały zaburzenia belgijskie, wpłynęło na decyzyę parlamentu niemieckiego, który ustawę wyjątkową przeciw socyalistom zatwierdził. Rząd ze swej strony użył w tym celu wszelkich argumentów, minister Puttkamer oświadczył na posiedzeniu, że cesarz uważałby odrzucenie ustawy za osobistą obrazę. W imieniu polaków oświadczył poseł Cegielski, że nauczeni smutnym przykładem, zmuszeni są głosować przeciwko każdemu prawu wyjątkowemu.

Niezrażony upadkiem monopolu wódczanego kanclerz niemiecki przygotowuje nowy projekt monopolu asekuracyjnego. Państwowe ubezpieczenia mają wielu zwolenników, ale pomimo to projekt prawdopodobnie upadnie, ponieważ parlament lęka się wszelkich reform, które ubocznie posłużyć by mogły do wzmocnienia i tak już nieograniczonej władzy rządu. Pomysły ekonomiczne księcia Bismarka mają nieraz wiele stron dobrych, ale przedstawiciele narodu i opinia publiczna muszą odwracać się od nich z obawy przed despotyzmem kanclerza, który w upaństwowieniu różnych gałęzi gospodarstwa narodowego ma na celu przedewszystkiem tylko wzmożenie na tej drodze władzy państwa. Rozprawy nad projektem ustaw kościelnych zostały odroczone, ponieważ Watykan wystąpił z żądaniem pewnych poprawek, ale ostateczne porozumienie niedługo już nastąpi, bo obie strony gotowe są do ustępstw.

W wiedeńskiej Radzie państwa trwają ciągle rozprawy nad budżetem i pociągną się zapewne dosyć długo, bo do głosu zapisało się około 300 posłów, t. j. $^3/_4$ ogólnej liczby. Członkowie klubu niemieckiego wysadzają się na coraz nowe awantury karczemne, zwłaszcza w odpowiedzi na przemówienia posłów czeskich. Parlament codziennie jest widownią scen brutalnych, przy sposobności dostaje się i rządowi, który pokornie znosi łajania i nagany nietylko opozycyonistów, ale i członków większości, niezadowolonych z chwiejnej polityki p. Taaffego.

Bezrobocie górników w Decazeville nie ustaje, w ostatnich dniach, widocznie pod wpływem wypadków belgijskich, ogarnęło ono również sąsiednie miejscowości.

Lwów. Robotnicy z fabryki stolarskiej Wczelaków urządzili bezrobocie, domagając się zmniejszenia godzin pracy, usunięcia nadużyć i „ludzkiego traktowania.“ Policya otoczyła fabrykę i wzmocniła posterunki w mieście, sześciu głównych przewódców aresztowano.

SPRAWY EKONOMICZNE.

WNIOSKI ZIEMIAŃSKIE.

Jeszcze w listopadzie 1884 r. Towarzystwo zachęty przemysłu i handlu rozesłało kwestyonaryusz, który miał na celu wyjaśnić przyczyny obniżenia cen płodów rolnych, oraz ułatwić zbadanie obecnych potrzeb gospodarstw rolnych i środków zaradczych. Kwestonaryusz składał się z pytań, z których na pierwsze cztery nietylko zwyczajni gospodarze, ale i patentowani ekonomiści, bez specyalnego przygotowania i gruntownych studyów odpowiedzieć zadawalniająco nie potrafią. Natomiast trzy ostatnie pytania: a) jakie są w teraźniejszych warunkach koszta produkcyi w Królestwie zboża, roślin okopowych, inwentarza itd., b) jaką być powinna cena najniższa wymienionych produktów, żeby pokryć wydatki poniesione i c) co uczynić należy, iżby koszta produkcyi zmniejszyć odnośnie do wymienionych działów — mogły być do pewnego stopnia rozstrzygnięte, gdyby udało się otrzymać na nie szczegółowe i liczne odpowiedzi. Niestety, z 1,800 wezwanych nadesłało je zaledwie 65, ale i w tej szczupłej liczbie wiele jest takich, które nie posiadają wcale poważnego znaczenia. Większość wywodów i obliczeń nie ma żadnej podstawy, wziętą jest, jak to mówią, z powietrza, niektóre rozumowania są po prostu śmieszne, inne znowu fantastyczne i dziwaczne. W dalszym ciągu zaznaczymy przy sposobności ciekawsze przykłady; tu dodamy tylko, że materyał, z którego czerpiemy, został już w znacznej części oczyszczony i przesiany przez podwójne sito. Z nadesłanych bowiem odpowiedzi dr. T. Kowalski ułożył treściwy referat, p. F. Olszewski zaś referat ten przerobił i uzupełnił i w takiej dopiero formie wydał w oddzielnej broszurze.

Nie będziemy poruszali zdań, dotyczących czterech pierwszych pytań, chociaż wielu korespondentów rozpisało się bardzo obszernie. Jeżeli bowiem wypowiadali ogólniki lub nawet niedorzeczności — nie ich to wina, ale autorów kwestyonaryusza. Znaleźli się i tacy, którzy bardzo rozsądnie oświadczyli, że o wpływie przekopania międzymorza Panama i o znaczeniu kanału suezkiego nic nie mogą powiedzieć.

Zanotować tu wszakże wypada, że korespondenci dosyć zgodnie twierdzą, iż konkurencya zamorska nie ma wielkiego znaczenia, że nie widzą doniosłości współzawodnictwa rosyjskiego i że ratunku oczekują od rządu, ponieważ „tańsza produkcya zależy od radykalnej (?) zmiany obecnych stosunków gospodarczych, będącej przeważnie w ręku rządu.“ Ma to być niezaprzeczonym faktem, z którego wypływa, że „odnośne przedstawienia czynić należy wprost do władz urzędowych.“ Zdanie to powtarza się później bardzo często w najrozmaitszych wypadkach, rolnicy jedynie od państwa oczekują ratunku, na własne zaś siły, czy to zbiorowe, czy pojedyncze, nie liczą wcale. Pogląd ten wygodny bardzo dla leniwego safandulstwa przebija we wszystkich prawie odpowiedziach na kwestyonaryusz.

Koszta produkcyi zboża obliczane są bardzo szczegółowo, ale wypracowania te nie mają żadnej prawie wartości, gdyż dokonano ich bez żadnego systematu i zupełnie dowolnie. Dla uniknięcia gołosłowności przytaczam, iż np. koszt produkcyi korca pszenicy jeden korespondent (z piotrkowskiego) rachuje na 7 rubli 11 kop., drugi — z hrubieszowskiego — na 4 rs. 50 k., trzeci wreszcie — z lubelskiego — na 1 rs. 57 kop. To samo żyto: koszt produkcyi korca jego waha się między 5 rs. 35 kopiejkami i 1 rs. 10 kop. itd. Gdyby przynajmniej wszystkie odpowiedzi zawierały uzasadnienie podanych cyfr, możnaby dojść do jakich takich wniosków; ale większość rachuje ot tak sobie, bez żadnych podstaw. Nawet w szczegółowych obliczeniach znajdujemy zupełną dowolność; jeden np. strąca sobie jakieś 15% na ryzyko, albo po dokładnej ocenie wszelkich pozycyj dodaje 4 rs. z morga tajemniczych kosztów ogólnych, inny odtrąca wartość słomy i pośladu, drugi nie — słowem: co głowa to rozum — a są głowy i bez rozumu.

Tak samo dowolnie wyliczane są ceny najniższe, przy których pokryć można wydatki; różnice są tu wprawdzie mniejsze, ale zawsze kiedy ziemianin z rawskiego sądzi, że bez straty sprzeda pszenic po 4 rs. 30 kop. korzec, obywatel z siedleckiego

---

ruszeń był więcej niecierpliwy, niż elegancki, a śmiech zupełnie nieprzyjemny.

Długi ogon wizytowej sukni, koloru szaroperłowego, rozpościerał się po czarnej podłodze, a gdy pani Warden nachyliła się i pociągnęła go do siebie, musiało się jej przypomnieć wyrażenie Heinego*).

Zaczęła się rozmowa, prowadzona w tym duchu, w jakim zwykle podobnego rodzaju rozmowy bywają prowadzone. Gdyby każda używała właściwych sobie wyrażeń i sposobu myślenia, dwie te kobiety nie porozumiałyby się nigdy.

Ale ponieważ biedak o wiele lepiej zna bogacza, niż bogacz biedaka, ten ostatni przyswoił sobie odpowiedni język, odpowiedni ton, którego nauczyło go używać doświadczenie, gdy chodzi o to, aby był zrozumianym, tj. tak zrozumianym, ażeby bogaty uczuł chęć okazania się dobroczynnym. Bardziej nigdy zbliżyć się nie mogą.

Takim językiem władała biedna kobieta biegle, i pani Warden wkrótce otrzymała zarys jej stanu. Miała ona dwoje dzieci — chłopca od 4 do 5 lat i dziecko przy piersi.

Pani Warden obejrzała tę małą, szarą istotkę, nie pojmowała, jak mogło to dziecko żyć już około trzynastu miesięcy. Sama bowiem miała w kolebce siedmiomiesięcznego olbrzyma, który był najmniej dwa razy większy.

— Powinna pani dać mu czegoś wzmacniającego — rzekła pani Warden.

Tu pomyślała o dziecinnej mączce i pomarańczowej galarecie.

Przy tych słowach: „czegoś wzmacniającego,“ z barłogu, pokrywającego łóżko, podniosła się jakaś głowa; był to blady mężczyzna, z dużą, wełnianą chustką na głowie.

Pani Warden przestraszyła się.

— Czy to wasz mąż, kobieto? — zapytała.

— Tak, to mój mąż. Nie poszedł dzisiaj do roboty z powodu strasznego bólu zębów.

Pani Warden miewała czasami ból zębów, więc wiedziała, co to za cierpienie. Wypowiedziała też parę słów szczerego współczucia.

Mężczyzna pomruczał coś pod nosem i znów się położył, a w tej chwili zauważyła pani Warden młodą dziewczynę, która siedziała w kącie po drugiej stronie komina. Ta popatrzyła chwilę na piękną panię, lecz wnet odwróciła się i pochyliła naprzód, tak, że do gościa była zwróconą plecami.

Pani Warden pomyślała, że ta młoda dziewczyna jest zajęta jakąś ręczną robótką, którą chciała schować. Zapewne musiał to być jakiś brudny, brzydki materyał.

— Dlaczegóż leży ten duży chłopiec ciągle na ziemi? — zapytała dama.

— Bo kulawy — odpowiedziała matka.

Tu nastąpiły opisy okoliczności, które spowodowały kalectwo i utyskiwania nad biednym chłopcem, który okulał po przebyciu ciężkiej szkarlatyny.

— Niech mu pani kupi — zaczęła pani Warden i chciała dokończyć: — krzesło na kółkach — lecz pomyślała, że daleko lepiej będzie, gdy sama to zrobi.

Nie jest bowiem dobrze dawać biedakom dużo pieniędzy do ręki: jednak coś miała zamiar dać od razu. Chciała tutaj lopomódz, tutaj rzeczywiście panowała nędza; sięgnęła po portmonetkę do kieszeni.

Nie było jej. Gniewało ją to bardzo — musiała pozostać w powozie.

Właśnie gdy pani Warden chciała wyrazić współczucie biednej kobiecie i obiecała przysłać jej później pieniądze, wszedł do pokoju wytwornie ubrany pan. Twarz jego była pełną jakiejś oschłej bladości, jakby nasycona mąką.

(D. n.).

*) Wyglądala jak cukierek, który upadł w błoto.

żąda 8 rs. i taką samą cenę narzuca całemu już krajowi nieokreślony bliżej Nr. 746. Inny znowu korespondent z kolskiego, obliczywszy, że korzec pszenicy kosztuje go 4 rs. 50 kop. i żyta 3 rs. 60 kop., żąda odrazu za parę — 12 rubli!

Najobszerniejsze i najliczniejsze są odpowiedzi na ostatnie pytanie. Wszyscy korespondenci przyznają zgodnie istnienie przesilenia i upadku gospodarstw, jedni wszakże sądzą, że taki stan rzeczy jest trwałym, drudzy uważają go za przejściowy. Nie będę powtarzał tego, co mówią autorowie odpowiedzi, zaznaczę tylko, że głównym środkiem zaradczym jest obniżka kosztów produkcyi, „dla osiągnięcia której usiłowania prywatne nie wystarczą, ale potrzebną jest większa przychylność ustaw krajowych dla rolnictwa.“

Niepodobieństwem byłoby streścić a nawet zdać sobie sprawę z tych różnorodnych życzeń, gdyby nie systematyczny wykład p. Olszewskiego, który owe zdania porządnie ugrupował. Żądania korespondentów podzielić się dają na: 1) środki będące w rozporządzeniu rządu, 2) zależne od działalności zbiorowej ziemian i 3) od działalności ich osobistej. Każda z tych grup obejmuje środki dotyczące kapitału zakładowego i obrotowego, podatków, robocizny, komunikacyj, ubezpieczeń i rzeczy ogólnych, tj. szkół specyalnych, kółek rolnych, instytucyj pomocniczych itp. Dokładnie i obszernie opracowali korespondenci tylko wnioski, zależne od postanowień rządu.

Na pierwszym planie stoją, rozumie się, opłakane służebności. „Ażeby ziemia jako podstawa ogólnego bytu społecznego i karmicielka człowieka spełniła należycie to wszechwielkie zadanie — patetycznie dowodzi Nr. 185 — najpierwszym jest warunkiem, aby rolnik nie był niczem krępowany w urządzeniu swego gospodarstwa.“ „Cokolwiek zechcemy uczynić — wszędzie kwestya służebności stawia nam nieprzeparty opór“ — dodaje Nr. 304. „Skutkiem serwitutów niemożebnem jest rozwinięcie racyonalne jakiegokolwiek gospodarstwa“ — twierdzi Nr. 215, a inne wtórują tym utyskiwaniom. 30 korespondentów woła że, „najpilniejszą dziś potrzebą gospodarstw jest uregulowanie serwitutów.“ Doprawdy, zdawałoby się, że jeżeli obywatele ziemscy bankrutują — to winą tego są jedynie służebności, tymczasem najnowsze dane świadczą, że w znacznej większości majątków uregulowano już serwituty i są nawet całe powiaty, w których nie istnieją one wcale.

Ochrona pól i lasów, to drugi konik, na którym chętnie harcują autorowie odpowiedzi. Liczne numery domagają się praw drakońskich przeciw szkodnikom a jeden z nich Nr. 701 posuwa się w zapale tak daleko, że twierdzi, iż gdyby nie utrzymywał polowych, nie sprzątnąłby połowy zboża. Inni znowu obliczają, że „kraj“ traci w ten sposób 2 miliony rubli rocznie. Nie, myślę bronić wcale szkodników, ale pozwolę zwrócić sobie uwagę, że „kraj“ nic tu nie traci i nie ma żadnego ubytku w produkcyi ogólnej. Jest to tylko strata właścicieli, przeciw której bronić się powinni i mają prawo, byle tylko nie za pomocą takich niefortunnych argumentów.

W przedmiocie handlu zbożem, obok takich dziwolągów, jak ustanowienie cła wchodowego dla zboża austryackiego (?), żądanie premij wywozowych, które pokrywałyby się z podatku „na całą produkcyę zbożową w państwie nałożonego,“ czyli po prostu mówiąc, w połowie na koszt chłopów, którzy ani jednego ziarna nie wywożą, itp. pomysłów — znajdujemy wiele rozumnych uwag nad polityką celną, świadczących o zdrowem pojmowaniu interesów ludności rolniczej.

Trzeci konik hasa po lasach i unosi niektórych korespondentów aż w dziedzinę zasadniczych pojęć prawnych. Rezolutni ustawodawcy przekreślają artykuły prawa dotyczące szkód w lasach i żądają, aby tego rodzaju wykroczenia uważane były za kradzież. Pomijam liczne uwagi o „kodeksie wodnym“ i hodowli inwentarza, mieszczą one wiele słusznych życzeń, haftowanych tu i owdzie niedorzecznymi projektami — jak np. żądanie zakazu sprzedaży wełny na centnary. To samo da się powiedzieć o wnioskach, dotyczących gorzelnictwa. Obok wykazania potrzeby ulg dla gorzelni małych, gospodarczych i ułatwienia wywozu, jakiś pomysłowy projektodawca domaga się ni mniej ni więcej tylko podniesienia akcyzy o 5 kopiejek od stopnia z jednoczesną podwyżką superaty do 12%. Zapewne sam autor propozycyi nie objaśnił by celu tej zamiany kija na pałkę. Ciekawe bardzo dane, dotyczące przemytnictwa, przytacza korespondent z powiatu rypińskiego. Oryginalny autor projektu podniesienia akcyzy, mówiąc o przemytnictwie, żąda oddawania szwarcowników krajowców do wojska (?), cudzoziemców — do rot aresztanckich, kobiet — do nieistniejących robót fabrycznych.

Dodać potrzeba, że niektórzy korespondenci zajmują się również mimochodem gospodarstwami włościańskiemi, ale rozumie się, że ta łaska pańska ogranicza się na pobieżnych wzmiankach. Tylko Nr. 123 zapowiada, że „nie rozumie segregacyi interesów ekonomicznych na folwarczne i włościańskie.“ Szkoda, że taki osobisty argument nie posiada żadnej wagi, albowiem wiele jest rzeczy niepodlegających wątpliwości, których jednak szanowni korespondenci nie rozumieją zgoła.

W sprawie kredytu życzenia sformułowane są bardzo ogólnie, mówią one o zakładaniu banków rolnych i banku hypotecznego oraz o uprzystępnieniu kredytu wekslowego. Dziwna rzecz, że korespondenci zwrócili tu uwagę na kredyt włościański, chociaż co prawda, żądają oni jedynie, żeby w zarządzie kas gminnych przyznany został większy udział inteligencyi.

W uwagach nad systemem podatkowym autorowie odpowiedzi złożyli dowód bezstronności: twierdzą bowiem, że „podatkami jesteśmy obciążeni, lecz nie przeciążeni“ lub, że one „nie są wygórowane,“ niektórzy tylko domagają się bardziej równomiernego rozkładu i zmniejszenia kar. Natomiast opłaty gminne podlegają surowej krytyce. Korespondenci ani chcą słyszeć, że wszelkie ciężary publiczne powinny być obliczane przynajmniej stosunkowo do dochodu, jeżeli system podatku postępowego jest przedwczesnym i zalecają usilnie wprowadzenie opłat od dymu zamiast z morga. W związku z tem stoi projekt „wyjednania zmian w ustawie gminnej celem rozszerzenia wpływu inteligencyi i uwzględniania przy głosowaniu *nietylko ilości, ale i jakości (?) głosów.* Tu należą również skargi z powodu składek na szkołę, „z której dwór nie korzysta,“ na szpital itp. dowody obywatelskich uczuć właścicieli ziemskich.

Powszechne są skargi na podatek stemplowy; niektórzy korespondenci wpadają nawet w przesadę, głosząc, że obniża on cenę szacunkową majątków o 33% lub też „zabiera dwuletni zysk z dobrze zagospodarowanych i wieloletni z podupadłych majątków.“

Sprawa robocizny zajmuje bardzo wielu korespondentów. Rozminąwszy się z prawdą w twierdzeniu, że włościanie „czują wstręt do zarobku na najem,“ lub że żądają zbyt wysokiego wynagrodzenia, walczą oni również ze statystyką, która dowodzi, że pod względem „zaludnienia rolniczego“ kraj nasz zajmuje jedno z pierwszych miejsc w Europie, gdy tymczasem korespondenci utrzymują, że brak nam robotnika. O braku tym i wysokich cenach najlepiej mówią cyfry, podane przy obliczeniu kosztów produkcyi zboża, tj. tam, gdzie ziemianie prędzej liczyli za drogo, aniżeli za tanio. Otóż za dzień roboczy w żniwa spotykamy zwykle cenę 25 kopiejek! Celem powiększenia ilości sił roboczych korespondenci proponują: 1) zniesienie jarmarków w porze letniej, 2) zniesienie służebności, 3) ukrócenie przemytnictwa i kradzieży. Gorliwsi żądają nawet skierowania do nas emigracyi ludności roboczej z Galicyi i Prus, nie wiedząc zapewne o tem, że wkrótce sami emigrować będziemy zmuszeni, gdyż na kraj przeważnie rolniczy posiadamy zbyt gęste zaludnienie. Jeden tylko Nr. 47 proponuje założenie towarzystwa emerytalnego dla oficyalistów i robotników, wielu natomiast domaga się unormowania (nawiasem mówiąc — dawno dokonanego) stosunków między robotnikiem i chlebodawcą i wprowadzenia książeczek służbowych. Projekty odpowiedniego urządzenia komunikacyj, zmiany taryf kolejowych za pomocą kontroli rządowej, przywrócenia ubezpieczeń państwowych, lub otwarcia stowarzyszenia wzajemnych asekuracyj, zakładania szkół fachowych i wprowadzenia nauki gospodarstwa do gimnazyów męskich i żeńskich, zawiązywania kółek rolniczych, wystaw, giełdy produktowej, stacyj meteorologicznych, biura statystycznego, ferm doświadczalnych itd. kończą szereg środków, których urzeczywistnienia domagają się korespondenci od rządu.

Natomiast w dziedzinie zmian zależnych od działalności zbiorowej lub osobistej rolników wymagania są daleko skromniejsze. Dotyczą one przeważnie strony technicznej gospodarstwa.

Z ogólniejszych wniosków zaznaczyć należy: sprawę zmniejszenia obszarów majątków, potrzebę zakładania spółek przemysłowo-rolniczych, handlowych i kredytowych, środki zmierzające do podniesienia bytu ludności robotniczej, lub też dążące do ujęcia jej w ścisłe karby legalnego wyzysku (te ostatnie liczniejsze — 10 przeciw 2) — i oto wszystko. Czy to fantazya pp. projektodawców osłabła, czy też czując niedołęstwo swoje abdykowali dobrowolnie — nie wchodzę w to; szkoda jednak, że tak pobieżnie zbyli środki samopomocy, kiedy one właśnie miały daleko więcej widoków urzeczywistnienia.

Wnioski, wyprowadzone na podstawie tych życzeń, przedstawiono umyślnie zwołanej Delegacyi rolnej złożonej z członków Towarzystwa zachęty przemysłu i handlu oraz zaproszonych ziemian. Delegacya podzieliła się na komisye oraz 17 podkomisyj i w czerwcu przedstawić ma sprawozdanie ze swych robót. Nie będzie to przecie już koniec, bo opracowane wnioski powędrują jeszcze nieraz od Anasza do Kaifasza, zanim otrzymają zatwierdzenie, jeżeli wogóle otrzymają je kiedy. Coś zanadto po polsku odbywa się ta „ankieta,“ tembardziej, że większość projektów należałoby po prostu odrzucić jako niewłaściwe lub też niemożliwe do osiągnięcia.

P.

BADANIA NAUKOWE.

ŻYJĄCA PRZEDHISTORYCZNOŚĆ.

Obok budującego się dopiero wspaniałego gmachu Szkoły medycznej w Paryżu, w kącie, upiętrzonym staremi domostwami o murach zczerniałych, jakich pełno jeszcze w cyrkule łacińskim, wznosi się stary również kościół, który zewnętrzny swój wygląd zachował w całości. Świątynia to bez Boga, rozpostarła się w niej natomiast wszechwładnie nowa stosunkowo umiejętność — antropologia. W przerobionym wewnątrz kościele mieści się na dole Mu-

zeum anatomiczne, na piętrach zaś Szkoła antropologiczna. Założona przed kilkunastu laty przez Brocca'ę, pielęgnuje jego tradycye i stara się przedewszystkiem o opracowanie i zastosowanie do studyów antropologicznych teoryi rozwoju. Miewa w niej wykłady kilku profesorów. Kręte dość schody i wąskie korytarze prowadzą do Muzeum antropologii, pracowni specyalnych i sali wykładowej, gdzie zbiera się różnoimienna i różnopłciowa publiczność. Obszerne też audytoryum zawieszone jest graficznemi kartami antropologicznemi, obstawione odlewami i odcinkami różnych interesujących okazów.

Do liczby wykładających należy znany badacz K. Letourneau. W bieżącym półroczu zimowem rozpoczął on, na świeżo utworzonej katedrze „historyi cywilizacyj," zajmujące odczyty o „antropologii i etycznym rozwoju." Na wykład wstępny, który się odbył w listopadzie, obrał sobie profesor ciekawy temat: *Żyjącą przedhistoryczność, la préhistoire vivante.* Odczyt wypowiedziany głosem dość cichym i jednostajnym ukazał się następnie w *Revue Scientifique* i szersze obudził zajęcie. Letourneau jest gorącym zwolennikiem teoryi rozwoju i metodę tę z powodzeniem stosował już w pracach swych z dziedziny biologii, antropologii, etyki i fizyologii. Z wywodami jego właśnie postaramy się zapoznać pokrótce naszych czytelników.

I.

Historyę cywilizacyi określa Letourneau jako „rozwój społeczny, moralny i umysłowy rodzaju ludzkiego." Ogłoszono dotąd wiele prac z tej dziedziny, ograniczyły się one jednak prawie wyłącznie na źródłach historycznych. Jest to zrywanie kwiatów bez troszczenia się o łodygi i korzenie. Niedostateczną tą metodą posiłkował się Buckle w świetnem swem skądinąd dziele. W ostatnich atoli latach trzydziestu powstała wspaniała teorya rozwoju, która powołaną jest do odnowienia wszystkich gałęzi wiedzy ludzkiej. Na tej podstawie wyrosła nowa metoda, która zajmuje się przedewszystkiem korzeniami i początkiem wszelkiej rzeczy. Początki, pierwsze okresy cywilizacyi, rozpatrywane na całej zamieszkałej przestrzeni i wśród różnych rasludzkich, mało są dotąd poznane, a przecież potężnie przyczyniają się one do wyświetlenia wyższych stopni rozwoju.

Główne wyniki cierpliwych i drobiazgowych poszukiwań nad czasami przedhistorycznymi w Europie dadzą się streścić w niewielu słowach. Pomijając człowieka trzeciorzędnego a trzymając się jedynie faktów bezspornych i wyjaśnionych, nie ulega wątpliwości, że przez cały długi czas trwania epoki czwartorzędowej człowiek istniał w Europie. Możemy nawet w ogólnych zarysach oznaczyć: kim on był i jakie prowadził życie. Człowiek ten za broń i narzędzie używał kamieni, zwykle krzemienia, łupanego początkowo, obrabianego następnie. Głównym jego zajęciem było myśliwstwo i rybołówstwo. Lud ten sadowił się nad brzegiem wód i żywił się przeważnie mięczakami. Muszle, będące szczątkami tych uczt pierwotnych, tworzą dziś jeszcze nad brzegami wielu mórz, jak w Danii, wielkie nasypy pozostałości kuchennych z owego czasu. Dziki człowiek czwartorzędowy był już rezultatem wielowiekowego rozwoju. Znał ogień i sztukę obrabiania krzemienia, a nawet kiełkował w nim już artyzm, którego ślady znajdujemy w ozdobach broni i narzędzi, w przedmiotach ubrania i upiększenia. Przygotowywano nawet jaskrawe farby mineralne, służące do zabarwiania przedmiotów i własnego ciała. Człowiek czwartorzędowy stał atoli na niskim jeszcze stopniu umysłowego, moralnego i artystycznego rozwoju. Nie znaleziono w jego otoczeniu żadnych śladów najpierwotniejszego choćby kultu religijnego. Zmarłych swych porzucał bez pogrzebu. Wogóle żył w niewielkich, koczujących hordach na wzór dzisiejszych małp antropomorficznych. Mimo to daje się zauważyć powolny, lecz stopniowy rozwój w ciągu całego okresu czwartorzędowego. Ciągłość ta jednak urywa się między człowiekiem czwartorzędowym a jego następcą, „człowiekiem polerowanego kamienia." Zmiany geologiczne i klimatyczne, jakie zaszły wówczas w Europie, spowodowały częściowe, miejscami zaś całkowite zniknięcie lub ustąpienie tych pierwotnych mieszkańców. Po znacznym zapewne przeciągu czasu pojawił się znowu w Europie typ o wiele doskonalszy, przybyły prawdopodobnie ze wschodu. Mieszkańcy ci różnią się znacznie od swych poprzedników. Nie posiadają zmysłu artystycznego, którym był obdarzony człowiek czwartorzędowy, są natomiast już rolnikami, wyrabiają naczynia gliniane, umieją budować groty sztuczne, posiadają zwierzęta oswojone i troszczą się o „życie przyszłe." W pozostałościach z tego okresu znajdujemy amulety i fetysze; umarłych grzebią i stawią im nagrobki. Występuje na scenę mitologia, która tyle odtąd zajmowała, obłąkiwała, męczyła a czasami i pocieszała ród ludzki. Między narzędziami spotykamy już kamienną siekierę i łuk. Od tego czasu postęp wciąż się zwiększa; dochodzimy wreszcie do człowieka budowli nawodnych, który jest bezpośrednim naszym przewodnikiem. Posiada on już domowe zwierzęta, zasiewa zboże, wypieka chleb, wyrabia tkaniny. Liczniejsze zaludnienie wytwarza też doskonalszą wiele organizacyę socyalną. Brak tylko jeszcze użycia metali, lecz i ten wynalazek przychodzi z kolei. Mimo tego nowego uwarstwienia ludności człowiek czwartorzędowy nie zniknął zupełnie z powierzchni Europy, cofnął się tylko w krainy cieplejsze, po przejściu zaś lodowego okresu, pojawia się znowu, czego ślady spotykamy nietylko w znajdowanych szkieletach, lecz i w zabytkach ówczesnej sztuki i przemysłu.

W końcu tego ostatniego okresu przedhistoryczna archeologia zahacza już o historyę. Bronz przyłącza się wówczas do polerowanego kamienia, jak ten łączył się z kamieniem ciosanym... Ślady tych czasów przedhistorycznych znajdujemy nie w samych szczątkach kopalnych. Tradycya „wieku kamiennego" była dość żywą w świecie grecko-rzymskim. Lukrecyusz pozostawił nam dokładny opis człowieka z okresu kamiennego. Herkules, pokryty skórami zwierząt i uzbrojony maczugą, jest wyraźnym uosobieniem typu owych przodków. Diodor opisuje także ludzi pierwotnych w sposób zgodny z wynikami dzisiejszej archeologii. U Herodota spotykamy nader dokładny obraz życia mieszkańców nawodnych w Tracyi, którego wiarogodność potwierdzają dzisiejsze odkrycia. W rezultacie uważać należy za dowiedzione — mówi Letourneau — że ludność czwarto a być może trzeciorzędowa zamieszkiwała Europę w czasach przedhistorycznych, oraz, że z tej ludności pierwotnej wyszła następnie starożytność klasyczna i „barbarzyńcy," którzy ją otaczali.

Poszukiwania archeologiczne, nader jeszcze niezupełne, po za granicami Europy, wykazały również, że ślady kamiennego okresu spotykają się na całej kuli ziemskiej. Znaleziono je w Egipcie, Japonii, Indo-Chinach...

Letourneau przechodzi następnie do wykazania analogii, jaka istnieje między tym bytem przedhistorycznym a życiem wielu pierwotnych ludów dzisiejszych. Szczątki kuchenne spotykane w Danii jako zabytek czasów przedhistorycznych gromadzą się dziś jeszcze w Ziemi ognistej, Australii i wielu innych miejscowościach. Tasmańczycy australscy są obecnie w okresie łupanego krzemienia, wiele zaś plemion amerykańskich nie wyszło jeszcze z peryodu krzemienia ciosanego. Broń i narzędzia, znajdowane w zabytkach archeologicznych Europy, spotykamy dziś w użyciu ludów pierwotnych. Zwyczaje i obrzędy wykazują również podobieństwa rażące, tak mało urozmaiconą była wszędzie kultura pierwotna. Odnajdujemy dziś także w żyjących zabytkach plemion pierwotnych uderzające analogie w układzie kostnym i inne anatomiczne podobieństwa.

„Wszystkie te pokrewieństwa — mówi Letourneau — które dochodzą często do tożsamości zupełnej są nader charakterystyczne. Wyprowadzić z nich można następujący wniosek, przyjęty dziś za pewnik przez wielu antropologów i socyologów: *współczesne rasy pierwotne odtwarzają wogóle ludzkość pierwotną; czasy przedhistoryczne żyją jeszcze w naszych oczach; starożytność miniona zmartwychwstaje w starożytności żyjącej.* Niektóre plemiona, hojniej uposażone od innych, rozwijały się i zdobywały sobie coraz szerszą arenę w walce o byt. Rasy te wzrastały w liczbę i pomyślność i wytworzyły złożoną nader cywilizacyę, kopiąc tem niejako przepaść między sobą a rasami pierwotnemi, rozwijającemi się z wielowiekową powolnością czasów pierwotnych. Człowiek cywilizowany nauczył się pogardzać rasami niższemi, tępi je nawet niemiłosiernie — mimo że są to żyjące obrazy jego przodków."

(D. n.).

ESTETYKA BARW
i filozofia złotego środka.

II.

Kluczem tajemnicy są dwa dodatki do dzieła, na które nie zwrócono należytej uwagi: prolog i epilog. W pierwszym prof. Struve zadziwia nas niebywałą w ustach jego mową — nutą skargi i wyrzutu. Żali się on na słabe poparcie ogółu, ubolewa, że pierwszy tom jego *Logiki*, która miała zawierać dzieje filozofii polskiej po raz pierwszy ze źródeł opracowane, nie pokrył nawet kosztów druku i wydawnictwo musiało być zawieszonem. Na obecną swoją pracę również daremnie szukał nakładcy, chociaż pragnął nią wyświadczyć istotną przysługę, wprowadzając ład do chaosu pojęć o barwach. Musiał więc ogłosić *Estetykę barw* własnym kosztem.

Cała potworność warunków wydawniczych u nas, która sprawia, że najcelniejsze utwory w dwa lata po wyjściu sprzedają się na makulaturę, podczas gdy senniki rozchodzą się w setkach tysięcy egzemplarzy, odbija się w tem elegijnem oświadczeniu. Jakto? pisarzowi, który piastuje wybitne stanowisko w wychowaniu i piśmiennictwie, który bacznie śledzi każdy ruch wiedzy oderwanej i sztuki, który ma tę rzadką i niepolską zaletę, że bierze wszystko z pierwszej ręki — odmówiono kredytu i kawałka miejsca na stole księgarskim?!

Epilog wylicza prace prof. Struvego aż na 8 stronicach. Jest tam wszelakiego dobra poddostatkiem, a niema gałęzi filozofii, któraby wielokrotnie nie została uwzględnioną; metafizyka, etyka, logika, estetyka, psychologia a nadto mnóstwo drobniejszych prac z zakresu historyi, literatury i sztuk pięknych itd. Nie dla samej chyba wiadomości czytającego przeznaczono ten sążnisty spis, zarówno jak i wzmiankę acz ukośną, że z rokiem ubiegłym mija cała ćwierć wieku pracy naukowej autora.

Ale nie bądźmy zbyt domyślnymi... bo chcemy widzieć tylko skargę na niewdzię-

czność, skargę niepojętą, niewytłomaczoną.

Tak — na pierwsze wejrzenie... Dość sięgnąć głębiej, żeby ją sobie objaśnić. Krótko mówiąc — prof. Struve przeżył się. Między nim a duchem czasu rozwarła się przepaść, której najwytworniejszy język i największa płodność nie zapełnią. Z początku, gdy niwa filozoficzna stała opustoszoną przez śmierć naszych szellingistów i heglistów, jak Kremer, Libelt i Cieszkowski — dawano wiarę jego apostolstwu — bo był czynnym i ruchliwym; ale wnet dostrzeżono, że po Europie powiał prąd, który oprzytomnił wszystkich z uśpienia idealistycznego — słuchano więc p. Struvego tylko z nałogu do nieokreślonych mgieł. Dziś życzliwość całkiem prysła, bo okazała się za kosztowną, wymagała ogromnej ofiary: nudy i przymusów. Łamiąc prawidła taktu i przyzwoitości wszyscy cichaczem z audytoryum wynieśli się.

Niedziw, życie przybrało wyraz tak szorstki i nieubłagany, że gwałtem ściągało idealistów z nieba marzeń na czarną ziemię trudu i boleści. Ekonomia opanowała ludzkość, kazała liczyć się z drogim czasem i nauczyła, że czcze oderwanie ani materyalnego ani duchowego bogactwa nie przysporzą, że dźwignią rozkwitu społeczeństw nie są kazania na temat zbawienia i nieśmiertelności duszy, lecz ich dziejowe, społeczne i państwowe warunki, że na tym padole właściwiej zawodzić żale Jeremiasza, niż śpiewać hymny na cześć powszechnego porządku i celowości, że wola pomimo ambicyi, w jaką ją wbijają, jest nader posłuszną podszeptom ciała i swej wolności co chwila kłam zadaje — a tymczasem prof. Struve wciąż miał wzrok utkwiony w gwiazdy, aż jak ów astronom z bajki, uczuł nagle, że siedzi w dole zapomnienia. Starzy lubiący wskazywać palcem na niebo mało go rozumieją i wielbią; świat młodszy jest dlań oddawna puszczą, na której woła napróżno...

Nie inaczej — objaw to znamienny wielce, że prof. Struve w ciągu 25 lat nie znalazł ani jednego naśladowcy, ani jednego sprzymierzeńca, ani jednego ucznia. Setki młodzieży o głowach zapalonych przesuwały się przez aulę uniwersytecką i żaden nie poszedł w ślady mistrza; tysiące umysłów dojrzałych czytało jego ewangelię i nikt nie zapamiętał nawet głównych jej zasad. I czyż mogło być lepiej? Pamiętamy dokładnie owo słynne rozumowanie: „jeżeli dzielność umysłu stoi w związku z ilością fosforu w mózgu, to wszędzie gdzie jest drugi, musi być i pierwszy“ — np. w butelce?! A cóż dopiero, jeśli pomyśleć, że cały wykład *Psychologii* składał się z takich sojuszów gruszki z pietruszką...

Gdy doszły do nas echa szkoły Comte'a, prof. Struve poświęcił jej aż całą stronicę a na mistyczne rojenia Böhme'go i Montaigne'a marnował ich dziesiątki. Dziś jeszcze ten i ów łamie sobie głowę nad *Syntezą dwóch światów*, napróżno usiłując wydobyć z niej formułę poglądu autora. Dowiedziano się tylko, że u stropu niebios zwiesza się jedwabna drabinka, czy też huśtawka, na której buja się złotowłosy chłopiec — realizm z dzieweczką — idealizmem, złączeni braterskim uściskiem.

Całe niebezpieczeństwo podobnej zabawki zwłaszcza podczas wichru, który mógłby łacno młodą parę rozbić o pierwszą lepszą skałę, grozi i systematowi, bo rozwiewa się on w szary dymek pod lekkiem dmuchnięciem rozsądku. Daremnie pytamy, jak połączyć i zaprzyjaźnić dwa wrogie żywioły, daremnie żądamy modły tego przymierza. P. Struve bierze je trochę po aptekarsku: pół tego i pół tamtego, choć w rzeczach większej wagi pozwala królować wyłącznie idei, grubo zaprawionej deizmem, i starannie unika wszystkiego, co może razić prawowierne bębenki uszu opinii. W swoim rodzaju jest jedynym; wprawdzie za zgodą głosowało wielu myślicieli, jak Reid, Cousin, Fichte młodszy, Ulrici i potrosze wszyscy mędrkowie niemieccy nowszego autoramentu, ale nikt nie określał rozejmu tak naiwnie, tak po gospodarsku, jak nasz autor. Możnaby mu darować, że zmusza do pocałunku dwóch najzaciętszych wrogów, którzy znają tylko walkę na śmierć i życie a w niczyim mózgu razem pomieścić się nie mogą, ale sposób jednania ich w istocie wychodzi z dziedziny poważnej. Oto, dlaczego filozofia prof. Struvego stała się sztandarem miernoty, mieszczaństwa, ckliwej czułostkowości, a jak nikły krzew przez nikogo nie pielęgnowany, usycha z braku soków odżywczych. Jutro będą o niej również mało mówić i myśleć jak o owym półświatku filozofii germańskiej, któremu przywodzili Carus, Nitsch, Twensen, Rothe, Hoffman, by na gruncie wrzekomo poważnym dusić hydrę niedowiarstwa. Taż sama ukryta dążność, taż sama płodność w jałowe pomysły...

Skarży się prof. Struve, że brużdżą mu „koteryjne względy.“ Nas one niewymownie cieszą! Świadczą bowiem, że filozofia wydobyła się nareszcie z ciemni metafizycznej, gdzie niewidziani przez nikogo augurowie przewracali logiczne koziołki; świadczą, że badawczy duch człowieka przerzucił się raz przecie z niewdzięcznej i czczej abstrakcyi do otwartej księgi przyrody, do praw rządzących życiem społeczeństw i rozwojem ludzkości; świadczą, że filozofia stała się czemś bliższem naszemu sercu, obchodzącem każdego, co ma oczy otwarte na niezliczoną ilość ziemskich spraw, że przestała być polem neutralnem, na którem schodzić się mogli tak wielcy, jak Sokrates i tak podli, jak Anytos, szlachetni, jak Seneka i okrutni, jak Nero, byleby umysł mieli giętki i obrotny. Filozofia „zdemokratyzowała“ się, wdarła w praktyczne zagadnienia, w spory społeczne i polityczne, przemawia przez usta dziennikarza i sejmowego posła, wciela się w stronnictwa postępowe lub wsteczne, możnowładcze lub ludowe, wolnomyślne lub klerykalne i pieczęć swą na każdej szerszej działalności wyciska. Jest ona matką wielkich przewrotów dzisiejszej cywilizacyi i z potomstwem rozstać się nie myśli.

Zresztą p. Struve sam jest przedstawicielem „stronnictwa.“ I on prześladuje herezyę i niezależność myśli, aczkolwiek ze spokojem profesorskim. Partya ta nosi miano „złotego środka.“ Wzdycha on do owych czasów, kiedy w marmurowych galeryach pod szafirowem niebem Hellady przechadzali się i rozumowali druhowie Arystotelesa. My tej pogody, dalekiej od wiru życiowego, nie znamy i nigdy nie zaznamy; „złotego środka“ w sprzecznych pojęciach nie rozumiemy, o przyzwoitość i gładkie formy w filozofii mało dbamy.

Sądzę, że teraz łatwiej pojąć dlaczego prof. Struve osiadł z swą nawą na mieliźnie — a w *Estetyce barw* drga struna rozczarowania. Rzecz to mniej miła, po 25 latach wytrwałej pracy, zamiast jubileuszu

„nieme miec harfy i słuchaczów głuchych,
„albo umarłych.....“

N. Hirszband.

LITERATURA I SZTUKA.

ODCZYTY BRANDESA
(o literaturze romantycznej polskiej).

I.

„Najmniej wykształcony z moich słuchaczów zna daleko lepiej, niż ja, język i umysłowe życie polskie. O przedmiocie, o którym mam mówić, nie zdołam powiedzieć wam nic nowego... Ukażę wam tylko, jak się odbija literatura polska z pierwszej połowy tego wieku w umyśle czytelnika europejskiego, znającego ją je lynie z tłomaczeń.“ Trudno było określić zadanie swoje skromniej. W mierze też tego skromnego założenia winniśmy oceniać wykłady Brandesa.

Według niego, literatura nasza obecnego wieku przypomina obraz G. Maksa „Chustka św. Weroniki:“ na pierwszy rzut oka twarz na nim wydaje się trupią, oczy zamknięte; gdy jednak spojrzymy z właściwego punktu, twarz się ożywia a oczy patrzą poważnie i smutno. Literatura ta oprócz znamion, jakie na niej wycisnął charakter narodowy, uległa jeszcze wpływowi gwałtownych zmian i warunków politycznych, które poezyę uczyniły w niej organem głównym, oraz rozwojowi romantyzmu europejskiego. Romantyzm ten łatwo się zaszczepił i bujnie rozrósł na charakterze narodu szlachetnym, marzycielskim, rycerskim, skłonnym do okazałości i religijnych uniesień. W polskiej odmianie przypominał on włoski i francuski, ale był od nich różnym, a jeszcze dalej odszedł od niemieckiego i angielskiego. Ogólne nieszczęścia kraju nadały wszystkim umysłom kierunek romantyczny, bo ojczyzna przestała być rzeczywistością widzialną, lecz zaczęła być przedmiotem wiary i marzeń. W narodach, które doznały podobnego losu, znajdujemy pokrewne objawy literackie. U flamandów *Lew* Conscience'a przypomina *Pamiątki Soplicy*; jest to jednak utwor mieszczański do ziemi przykuty. W Finlandyi *Opowiadania junkra Stala* są utworem najbardziej zbliżonym do *Pana Tadeusza*, ale znowu nie posiadają tendencyi politycznej i nie oddychają nienawiścią. Dwie okoliczności urobiły w Polsce romantyzm odmiennie: 1) katolicyzm połączony z najszczytniejszemi ideami chrześciaństwa, wolny od ruchów wstecznych i 2) liberalizm, który, przeciwnie niż gdzieindziej, zbratał się z nowym prądem literatury. Romantyzm innych krajów szukał natchnień w odległych czasach i miejscach; polski, nawet wtedy, gdy szedł tą drogą, był zawsze współczesnym i narodowym. Gdyby polak z epoki od 1820—30 malował Abisynię z IV w. przed Chrystusem, w postaciach abisyńczyków przedstawiłby swoich rodaków. Wszyscy poeci polscy tego okresu mają nieprzeparty pociąg do abstrakcyi, alegoryi i spirytyzmu. Wyrodziła go naprzód podsycana katolickiem wychowaniem skłonność do mistyczności, a następnie potrzeba osłaniania swych myśli. Dwóch szczególnie ludzi owładnęło wyobraźnią polaków: Napoleon, który mniej na tę cześć zasługiwał od Waszyngtona, i Byron, mniej wart od Shelleya; ale Waszyngton był bohaterem niedemonicznym, a Shelley niedowiarkiem. Z wielkich poetów szczególnie oddziałali na romantyzm polski Shakespeare i Dante; pierwszego naśladowano w pomysłach okrucieństw i mordów, drugiego w obrazie „piekła.“ Nie pozostało to bez ważnych następstw, że wszyscy poeci polscy tej doby opuszczają kraj i żyją na emigracyi, która potęgowała ich egzaltacyę i rozstrajała uczucia. Oderwanie od ziemi ojczystej narusza równowagę ich charakteru, wyrabia chwiejność, podwaja pociąg do mistycyzmu, podtrzymuje wiarę w nagłe i wielkie przewroty. Stają się jasnowidzącymi i prorokami, a gdy smutek bez nadziei zamyka im usta, tajemnicze znaczenie strasznej burzy, w której kraj ich zginął, jest ciągle przedmiotem wszystkich ich myśli i marzeń. Zdawałoby się, że rozmyślając spokojniej i trzeźwiej, oddaliby swemu krajowi większą usługę. W rzeczywistości — nie. Ich egzaltacya rozbudzała w czytelniku zapał potrzebny do wytrwania w trudnych warunkach, poiła ich zaufaniem i wiarą w przyszłość. Utwory

ich są skarbnicą uczuć patryotyzmu, litości, nienawiści, nadziei. Poezya ta jest zbiorem narodowych książek do modlitwy, przedstawia rodzaj nowożytnej Biblii, w której znajdujemy księgi sędziów i proroków, patryarchalne opisy— jak *Pan Tadeusz* i powieści Rzewuskiego — psalmy Krasińskiego— (a możnaby dodać i Ujejskiego, którego Brandes, niestety, nie zna) gdzieniegdzie postać Judyty, walka Machabeuszów, nieszczęścia Joba, a od czasu do czasu wzniosłą pieśń miłości, brzmiącą słabiej, lecz eteryczniej, niż śpiewy w starej Palestynie.

Poezya romantyczna polska ukazała zagranicy istnienie sumy życia, o którego sile już wątpiono i którego dostatecznie ocenić nie umiano. Każdy naród musi przedewszystkiem dowieść, że żyje, bo — jak mówi Schiller — „żyjący mają słuszność,“ następnie — że nie stoi niżej od innych, z którymi współzawodniczy, wreszcie — że skutkiem tego oprócz prawa do życia posiada jeszcze prawo do cywilizacyi. „Pod tym względem poeci romantyczni Polski dowiedli Europie tego, czego jej dowieść byli powinni.“

Ponieważ romantyzm jest ten sam we wszystkich krajach, a charakter narodowy odmiennie się wyraża w różnych epokach, więc położenie polityczne jest czynnikiem głównym. Ono też przeważnie oddziałało na naturę bohaterów i bohaterek, ono nadało poezyi polskiej charakter symboliczny i formę alegoryczną. Dla ocenienia wpływu politycznych dążeń, dość zestawić pomysły twórczości polskiej z innymi. Tak np. postać kobiety w romantyzmie polskim jest zawsze bohaterską, niezwiemską, anielską; natury męzkie — bojownicze, posępne, groźne. Nie spotykamy tu nigdy wewnętrznego starcia między pragnieniem czynu, a pociągiem do rozrywek, lecz walkę wielkiej żądzy, wzniosłej działalności z przeszkodami niezależnemi od jednostki, których ona złamać nie może. Ale bohater nie jest nigdy zapalonym demokratą, rewolucyonistą, a cała poezya polska pod względem społecznym jest zachowawczą. Nie odnajdujemy w niej ani śladu tej nienawiści do własnego kraju, pogardy dla ziomków, jaka np. przenika Childe-Harolda. Tu nie istnieje owa walka między wielką jednostką, a narodem, która ożywiała Byrona i Shelleya, częścią dla tego, że poeci polscy nie wznieśli się nigdy po nad poziom umysłowy i religijny swego narodu, głównie zaś — że starali się o utrzymanie z nim solidarności. Duch ich również czasem buntował przeciwko niebu, ale ostatecznie przed nim się korzył; wątpił na chwilę o istnieniu Boga, ale go nie zaprzeczał. Poeta polski w gruncie był stale prawowiernym katolikiem.

(D. n.).

LITERATURA ANGIELSKA.

N. Bagwell. **Ireland under the Tudors.** Londyn.

Znakomity historyk wydał dwa pierwsze tomy zajmującego dzieła, w którem dochodzi dopiero do roku 1578, a zatem służą one za wstęp tylko do czasów o wiele ciekawszych. W ostatnich latach panowania Elżbiety stosunki pomiędzy Irlandyą i Anglią powikłały się wskutek walki tej ostatniej z Hiszpanią. Zawikłań tych widzimy dopiero początek, a natomiast przedstawione są cechy wzajemne Irlandyi i Anglii. Anglia stała wyżej pod względem cywilizacyi i uspołecznienia, politycznie doszła już do pojęć państwowych, gdy Irlandya trzymała się jeszcze ustroju klanowego. Kiedy naród podbity ma wyższość nad swym zwycięzcą, wszczepia mu zwykle swą cywilizacyę — jak to uczynili grecy z rzymianami, a następnie rzymianie z barbarzyńcami — ale wyższość cywilizacyi najezdców z trudnością staje się udziałem zwyciężonych i stawia pomiędzy nimi nieprzebytą tamę. Tak stało się z Irlandyą. A gdy potem przyszła różnica religijna, Irlandya musiała walczyć, albo stać się niewolnicą. Nieszczęściem jej było to, że nie rozwijała się samoistnie, jak Szkocya. Z drugiej strony znów — ze stanowiska ówczesnej polityki — nie podobna dziwić się Elżbiecie, iż nie mogła ścierpieć pod bokiem kraju, z którego Hiszpania starała się uczynić niebezpiecznego wroga i utworzyć z niego centralny punkt swych działań zaczepnych. Skutki tych wszystkich dawnych zawikłań spadają dzisiaj całym ciężarem na dwa pokrewne a wrogie narody. Autor kreśląc fakty, nie rozwiązuje pytania: jak się głucha walka między nimi zakończy? Zadanie to bowiem należy do mężów stanu, nie do historyków. Bagwell, jako anglik, poszczycić się może wielką bezstronnością, bo chociaż nie rzuca idealnego światła na Irlandyę, nie zapomina nigdy, że Anglia przerywając jej proces rozwojowy, wzięła na siebie moralną odpowiedzialność, która ją dziś ciężko ugniata.

Charles Gréville. **Memoirs.** Londyn.

Pamiętniki Karola Grevilla pełne są ciekawych szczegółów o mężach politycznych Anglii. Część druga, obecnie wydana, obejmuje czas od roku 1837 do 1852, a przed bystrem i złośliwem okiem autora przesuwa się cała galerya ludzi, którzy zaznaczyli się w historyi. Sądy, jakie o nich wydaje, niezawsze przyszłość potwierdziła; w każdym razie są one oryginalne, jako wyraz epoki, oraz stronnictwa, do którego sam autor należał. O Disraelim np., który później odegrał tak ważną rolę, jako lord Beaconsfield, mówi z wielkiem lekceważeniem; według niego posiadał on tylko spryt awanturnika, nie wzbudzał ani zaufania, ani szacunku. Wogóle Greville jest bardzo ostry w swoich zdaniach, miał wiele gryzącego dowcipu i używał go przeciw swoim nieprzyjaciołom, umiał zaś nienawidzić w całem tego słowa znaczeniu. Druga ta część pozbawioną jest zupełnie skandalów, jakich pełno było w części pierwszej, którą Ludwik Filip przyrównywał z tego powodu do pamiętników Saint-Simona. Naprzód dwór młodej wówczas królowej Wiktoryi dawał do nich mniej pola, powtóre Henryk Reeve, spadkobierca literackiej spuścizny Grévilla, odrzucił starannie te, które się nasunęły pod jego ostre pióro, obiecując w przedmowie, że wykreślone karty zostaną włączone do późniejszych wydań, gdy nie będą już dotykały żyjących. Reeve ma jeszcze w ręku ostatnią część pamiętników od r. 1852 do 1860 i zapewne wyda ją w następstwie. Literaci i politycy wyglądają ich ukazania się z jednaką niecierpliwością.

Elisabeth Cary Agassiz. **Louis Agassiz his life and correspondence.**

Agassiz był jednym z ludzi, którzy najwięcej przyczynili się do postępu nauk przyrodniczych, pomimo to najmocniej opierał się nowym teoryom naukowym, choć przygotował je własnemi pracami. Umysł jego przedstawiał dziwne pomieszanie jasnych, niemal genialnych poglądów i ciasnoty pojęć, odrzucających ich zastosowanie. Życie jego podzielić można na dwa okresy. Urodzony roku 1807 i wychowany w Szwajcaryi, swemi badaniami naukowemi dowiódł pierwszy istnienia epoki lodowej. W czterdziestu latach wybrał się do Ameryki, w Bostonie ożenił się po raz drugi i tam osiadł. Rola jego jednak, jako przodownika wiedzy, skończyła się z chwilą ogłoszenia teoryi przemiany gatunków Darwina, której nigdy uznać nie chciał, chociaż argumentów do niej dostarczyły jego własne prace. Druga żona znakomitego, choć upartego, przyrodnika skreśliła historyę jego życia i dzieł z głęboką miłością, jaką wzbudzać umiał przymiotami umysłu i serca we wszystkich, którzy go znali.

Thomas Hodgkin. **Italy and her Invaders.** Tom III i IV. Oxford. 1885.

Po pięciu latach ukazał się wreszcie ciąg dalszy ważnej historycznej pracy, w której autor pierwiastkowo zamierzył opisać pięć wielkich napadów barbarzyńców na Włochy, od Alaryka w r. 402 do Alboina w r. 568. Ażeby jednak dać właściwy obraz Alaryka, jego ludu i potęgi, Hod. zmuszony był rozpocząć swe opowiadanie od zniszczenia w IV-tym wieku państwa zadunajskich gotów przez hunów i wyparcia części gotów w granice rzymskiego cesarstwa. Dwa tomy, wydane obecnie, obejmują czas od upadku Augustula do wypędzenia z Włoch ostrogotów; pierwszy jest prawie cały poświęcony czasom Teodoryka, drugi opisuje walki Wschodniego Cesarstwa o zatrzymanie władzy nad Zachodniem i tu występują wielkie imiona Justyniana, Belizaryusza, Narsesa. Dalszy ciąg pracy Hodgkina przewyższa jej początek pod względem erudycyi i szerokości poglądów. Wpłynęło na to zapewne dzieło Dahna, *Królowie germanów*, opisujące też same czasy i wypadki, a które wyszło pomiędzy wydaniem pierwszych a dalszych tomów Hodgkina. Autor nie potrzebował zapożyczać się u historyka niemieckiego, z którym się często nie zgadza, opracowując na swój sposób też same źródła, jednakże korzysta się zawsze z poważnej książki, traktującej zajmujący nas przedmiot i to właśnie znać w świeżo wydanych tomach.

D. G. Brinton. **Annals of the Cakchiquels.** Londyn. 1886.

Cakchiquele był to jeden z najwyżej rozwiniętych szczepów środkowej Ameryki w czasie hiszpańskiego podboju. Poznanie jego cywilizacyi przekonywa, że był więcej do nas zbliżony, niż wszystkie inne znane plemiona, pogrążone w dzikości lub barbarzyństwie. Z tego powodu przeszłość Cakchiquelów budzi szczególny interes i rzuca pytanie: czy rozwój ich był rodzimy, czy też przeniesiony z Azyi? Jak dawnemi były ich miasta i urządzenia społeczne, zniszczone przez najezdców? Nowa książka, wydana przez niezmordowanego badacza starożytności i zabytków dawnej Ameryki, rzuca niejakie światło na te zawiłe kwestye. Zawiera bowiem dosłowne tłomaczenie z objaśnieniami bardzo dawnego rękopisu, pisanego głoskami łacińskiemi, ale w języku Cakchiquelów, któremu nadał tytuł „Roczników Xahili.“ Rękopis został odkryty w roku 1843 przez Don Juana Gavarette w klasztorze św. Franciszka w Guatemali. Są to podania rodziny Xahila, sięgające czasów mitycznych, bo wielkie rody Cakchiquelów, tak samo jak się to działo u greków i rzymian, przyznawały sobie chętnie boski początek. Rękopis, wydany przez Brintona, skopiowany został w swej obecnej formie nie wcześniej, jak w r. 1620, a oprócz podań, stanowiących wstęp bardzo cenny, zawiera opowiadanie jednego z członków rodziny, który był w całej sile młodzieńczego wieku w chwili najazdu i z udzielnego księcia został niewolnikiem. Język Cakchiquelów należy do tej samej grupy, co języki ościennych plemion i dziś jeszcze używany jest w Yukatanie, gdzie wspaniałe ruiny świadczą o wielkości istniejącego tam niegdyś państwa, Cakchiquele byli plemieniem rolniczem, stojącem na wysokim stopniu kultury, skłonnem do poezyi i pełnem zapału; złożyli tego dowody w zabytkach literackich, w których dopatrzeć można nastroju wedycznego, a na-

wet niektóre analogie obrzędowe z indyjskimi aryami.

Profesor Andreo Seth. **Scottish Philosophy.** 1886.

Autor wykłada filozofię w uniwersytecie edynburskim i wydał swój kurs jednoroczny, stanowiący dopiero początek obszerniejszego dzieła. W tym pierwszym tomie jasno i dosadnie charakteryzuje Reida i Hume'a, porównywając ich z Kantem i jego następcami.

Sir Henry Summer Maine. **Popular Government.** Londyn, 1885.

Jest to zbiór studyów politycznych, które ukazały się niedawno w *Quart. Review* i wzbudziły niezmierne zajęcie, tem więcej, że je przypisywano lordowi Salisburyemu. Dziś zajęcie to zmniejszyć się nie mogło, gdy poznano nazwisko autora, głośnego w literaturze z *Dawnego prawa* (Ancient Law). W przedmowie do swego nowego dzieła Maine usiłuje połączyć jedną myślą te dwa odrębne utwory. W pierwszym z nich rozwijał ideę, iż tak zwane prawo naturalne w swem etycznem znaczeniu, jakkolwiek wywierało pewien wpływ na prawodawstwo i politykę, nie miało w rzeczywistości nic z naturą wspólnego, a zaczerpnięte było głównie z filozofii greckiej. W obecnym utworze powołuje się on na tenże sam pierwiastek w rządach demokratycznych, a wykazuje ich złe zarówno jak dobre strony, wspierając się na powadze Benthama i Tocquevilla. W każdym razie autor staje na filozoficznem, bezstronnem stanowisku wolności i prawdy, śledząc ich rozwój w historyi bez względu na nazwy, jakie przybierają stronnictwa; z niepodległości umysłu, będącą znamieniem i zaszczytem angielskiej szkoły i nie waha się poddawać pod rozbiór nawet pewników uważanych za niewzruszone. Przedstawiwszy np. dobre i złe strony demokratycznego ustroju, stawia następujący dylemat: jeśli ta forma rządu jest dobrą, należy popierać ją bez żadnego ograniczenia, jeśli złą, powinniśmy zwalczać ją także niezmordowanie. Kwestyi tej jednak Maine nie rozstrzyga, dzieło jego nie jest apodyktyczne, ale analityczne i to właśnie nadaje mu wartość, bo poszukiwaniom i dowodzeniom stronniczości przypisywać nie podobna. Jest ono wytworem swobodnej i uczciwej myśli, możliwem jedynie w kraju, szanującym wszelkie przekonania, przywykłym do niepodległości jednostkowej nawet w przedmiotach leżących wszystkim na sercu i szanującym każde zasady. Autor otwiera spór w krainie myśli nad przedmiotami wprawdzie przesądzonymi od dawna, które kwestyonowanymi na seryo w tych czasach nie były, bada je przy świetle najnowszych doświadczeń i nauk, a to właśnie stanowi jego oryginalność.

W. M.

LITERATURA ROSYJSKA.

N. Kariejew. **Wopros o religioznoj reformacii XVI wieka w Rieczi Pospolitoj w polskoj istoriografii.** Petersburg.

B. profesor uniwersytetu warszawskiego, p. Kariejew, autor cennej rozprawy *Reformacia i katoliczeskaja reakcia w Polsze*, w krótkim historyczno-bibliograficznym zarysie stara się przedstawić nietylko ocenę prac, dotyczących dziejów reformacyi w Polsce, ale zarazem wykazać za pomocą tego przykładu postępy, jakie zrobiła historyografia polska w ostatnich latach. Stosownie do tego zamiaru pobieżnie, ale trafnie streszcza on zasadnicze rysy trzech szkół historycznych polskich: Naruszewiczowskiej, Lelewelowskiej i nowej, zaznaczając poglądy ich w sprawie protestantyzmu polskiego. Jakkolwiek p. Kariejew twierdzi, że młodsi historycy polscy badają zupełnie objektywnie, nie pozostawia jednak i ich bez zarzutu, który polega na tem, że „oddzielają oni badanie reformacyi w Polsce od ogólnego badania ruchu reformacyjnego w Europie." Rys ten uważa autor za charakterystyczną cechę nauki historycznej u nas, która pozostaje dotąd wyłącznie narodową i nacyonalistyczną, co poniekąd utrudnia badania bezstronne i zwęża widnokrąg umysłowy uczonych. Nawet Bobrzyński, który jasno widzi tę wadę, nie jest od niej zupełnie wolnym.

Na kilkudziesięciu stronicach p. Kariejew wylicza i w krótkości ocenia prace historyków o reformacyi w Polsce, zaczynając od najdawniejszych i nie pomijając badaczów obcych. Prawdziwie naukową wartość przedstawia dzieło prof. W. Zakrzewskiego: *Powstanie i wzrost reformacyi w Polsce*, niemniej godne są uwagi liczne monografie, dotyczące tej epoki. Więc też, chociaż literatura polska nie posiada dotychczas całkowitej historyi ruchu reformacyjnego, postępy nauki wyraziły się jednak w dziełach, traktujących całokształt dziejów Polski, zwłaszcza zaś w Zarysie Bobrzyńskiego. Jednocześnie prawie zjawiły się prace młodych uczonych rosyjskich— Żukowicza: *O kardinale Hozii i polskoj cerkwi jewo wremieni* i Lubowicza: *Istoria reformacii w Polsze*. Bogactwem materyjału odznaczają się niedawno wydane *Dzieje reformacyi w Polsce* ks. J. Bukowskiego. Wyliczając wreszcie cały szereg oddzielnych monografij, autor zwraca słusznie uwagę, że ze sprawą reformacyi związać należy koniecznie powstanie i zwycięstwo reakcyi katolickiej. Dzieje tego zwrotu nie znalazły dotychczas zdolnych i bezstronnych badaczów.

Za najważniejszy rezultat prac historycznych w danej kwestyi uważa p. Kariejew jednozgodne prawie przyznanie i stwierdzenie szlacheckiego charakteru reformacyi. W ten sposób sprawa ta wiąże się z owym zasadniczym zwrotem w dziejach Polski — z przemianą monarchii średniowiecznej na rzeczpospolitę szlachecką.

Znaleziono więc punkt wyjścia, podstawę dla badań dziejów reformacyi w Polsce i określono zarazem znaczenie tego ruchu umysłowego i politycznego. Dotychczas w historyografii polskiej na pierwszym planie stoi polityczna strona reformacyi, ponieważ według p. Kariejewa, historycy nasi wyłącznie traktują fakty przeszłości w stosunku ich do upadku Rzeczypospolitej, jako przyczyny teraźniejszego stanu i przyszłych losów narodu polskiego. Pogląd taki autor nazywa jednostronnym, przyznaje wszakże, że nowa szkoła historyczna patrzy na przeszłość krytycznie i stara się oceniać ją objektywnie.

Wziąwszy za przykład badanie dziejów reformacyi, p. Kariejew dochodzi do wniosku, że w ostatniem 25-leciu historyografia polska zrobiła znaczne postępy, które streszcza w pięciu twierdzeniach:

1) Wzrosło opracowanie materyałów i wydawnictwo zabytków historycznych.

2) Zwrócono uwagę na epoki i zjawiska, które przedtem traktowano powierzchownie, lub też ignorowano zupełnie.

3) W badaniach panować zaczyna duch naukowy, sprzeciwiający się wszelkim z góry powziętym przekonaniom, tradycyom niekrytycznym i fałszywej tendencyjności.

4. Uznano potrzebę poznania historyi innych ludów dla porównania z nią własnej.

5) Przestano pomijać milczeniem prace obcych uczonych, dotyczące narodowości polskiej.

Nie ma chyba potrzeby dodawać, że w pracy p. Kariejewa panuje również ów „duch naukowy, wrogi wszelkiej tendencyjności;" przyniesie może ona pożytek nietylko czytelnikom rosyjskim, dla każdego zaś pragnącego zająć się historyą reformacyi w Polsce posłuży jako cenna wskazówka literatury danego przedmiotu.

W.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Społeczeństwo, które nie istnieje.— Czyszczenie honoru. — Jednostka jako zwierciadło ogółu. — Podręcznik pojedynku. — Dopełnienie prawa i skamieniałość obyczajowa. — Ścięcie p. Hartmanna.— Sposób przylepiania sobie głowy. — Za śmiech.— Nowy świecznik literatury. — Pokłon muz przed złotym cielcem. — P. Kochańska śpiewająca „swoim." — Ostrożnie z kuzynowstwem pustej kieszeni.

Wiem, że są społeczeństwa, w których wszyscy muszą umieć czytać, w których nikt nie bierze łapówek, w których nowo-rodki po ulicach się nie walają, w których praca nie krzywdzi; ale nie wiem, czy są takie — przynajmniej w świecie „ucywilizowanym" — gdzieby człowiek poważny, obrażony dotkliwie przez kpa nie był obowiązany z nim się pojedynkować. W każdym razie nasze do wyjątków nie należy. Jego opinia uwalnia od tej walki zbyt wielkich i zbyt małych, ale wydając dyspensę, krzywi się mocno. Człowiek bowiem prawdziwie „honorowy," potrącony lub udeptany a nieprzeproszony, powinien natychmiast wyzwać brutala, zaryzykować swoje życie, szczęście, byt swojej rodziny, swoją działalność i zmazać „hańbę" krwią własną lub krwią swego przeciwnika, a jeżeli chybione strzały jej nie utoczą — chociaż dymem prochowym. Bo dziwnie magiczną władzę ma ten szlachetny sąd! Paweł grzmotnął Gawła tak w fizyognomię, że mu naderwał szczękę: stanęli przeciwko sobie z pistoletami i obaj chybili — ale Gaweł jest „oczyszczony." Innym razem Paweł potrącił Gawła w teatrze a wyzwany — zabił go — i znowu stało się zadość „honorowi." Łotr, oszust, złodziej, gwałciciel przez samo wzięcie do ręki pistoletu lub szpady staje się człowiekiem uczciwym; uczciwy zaś przez samo odtrącenie pojedynku lub nawet niewyzwanie ściąga na siebie wzgardę. Gdyby Kopernik wziął do tańca pannę, zamówioną przez Filipa z Konopi, i potem odmówił mu orężnej satysfakcyi, każdy życiorys zaznaczałby tę plamę na charakterze wielkiego astronoma. Dostojnikom wolno karać zniewagę wyrokiem sądu państwowego, chłopom wolno rozbijać sobie czaszki kłonicą, ale wszyscy stojący między tymi dwoma krańcami muszą mścić krwią nawet obrazę swoich nagniotków. Kto badał jakąkolwiek stronę życia ludzkiego, ten wie, jaką masę jego tkanek urabiają siły nieświadome, a postęp w znacznej części polega na porządkowaniu owych objawów bezwiednych. O ile więc należy zwracać się do ludzi z żądaniami logiki, o tyle jest to praca niewdzięczna. Jeżeli zaś ani kłątwy soborów, ani zdania mędrców, ani najsurowsze ustawy nie zdołały usunąć pojedynku, jeżeli wreszcie te same pisma, które cieszą się łagodnem rozwiązaniem ostrego sporu, piętnują półsłówkami „tchórzów," nieprzyjmujących wyzwania — to daremnie próbowałby ktoś wytłomaczyć ogółowi całą mizerotę tego barbarzyńskiego anachronizmu. Trzeba wszakże to robić dla dania otuchy wyjątkom i złożenia dowodu przyszłości, która naszym dzikim instynktom urągać się będzie, że nie wszystkie były dzikie.

Na czem się opiera dotąd pojedynek? Na umysłowej i moralnej zależności jednostki

od społeczeństwa, które lubi drażniące rozrywki. Nie może ono już dziś przypatrywać się zapasom tygrysów, lwów, gladyatorów, więc przynajmniej każe powaśnionym staczać walki. Szaleństwem zaś byłoby żądać, ażeby w sprawie honoru przeciwstawiał się opinii publicznej człowiek, który nie śmie nosić innego kapelusza, innych butów i spodni, tylko takie, jakie ona mu przepisuje, który wolałby sierotę po cichu oszukać, niż pójść na koncert bez krawata. J. Janin powiedział, że nie chciałby przeżyć 24 godzin w obecnem społeczeństwie bez pojedynku — i zupełnie mu wierzę. Bo do tego trzeba więcej odwagi, niż do stanięcia pod lufą pistoletu. Boswell, który postawił w parlamencie angielskim wniosek, grożący pojedynkującym się karą śmierci, wkrótce sam przyjął pojedynek: odważywszy stratę życia i sromotę, wybrał pierwszą, lżejszą. Niepodobna zaś wymagać od ludzi, ażeby oni ciągle i w każdym wypadku byli bohaterami. Przeciwnik wojny przyjmie w niej udział, gdy będzie zmuszony, gdy porówna skutki oporu ze skutkami ofiary. Na 1000 mierzynów, składających społeczeństwo, każdy z 999 nosi w sobie odbicie przekonań 998. Ubiera się według pewnej formy, zawiera małżeństwo, wierzy w Boga, jeździ za granicę, oburza się, zachwyca, płacze, śmieje — dlatego, że większość to robi. Czyż on może nie wyzwać lub nie przyjąć wyzwania, gdy mu opinia poleci? Kto nie wie, co to jest walka ze „światem,“ niech jej sprobuje na drobiazgu, niech np. wszystkim oświadczy, że fiołek ma woń nieprzyjemną — wkrótce spostrzeże smutne następstwa swej nieopodległości.

Człowiek religijny, wierzący, że losem walki kieruje Bóg, który w niej zawsze ukarze winnego, może w zgodzie z zasadami bronić swego honoru pistoletem lub szpadą; ale człowiek, który sądzi, że losem tej walki kieruje zręczność lub przypadek, przyjmując ją, znieważa własną godność. A jednakże, ponieważ bohaterstwo nie jest obowiązkiem, nie zachęcam nikogo do wyłamywania się z pod ohydnego zwyczaju, przeciwnie, radzę każdemu kupić świeżo wydany przez p. W. Bartoszewicza wykład reguł pojedynku. Z książki tej dowie się przynajmniej, jakie są prawidłowe sposoby zostania barbarzyńcą. Gdym ją przejrzał, naprzód ogarnął mnie śmiech z poważnego wykładu zabawnych przepisów honorowego wywabiania plam; ale potem doznałem smutku. Tak, to jest także kodeks naszego życia, naszej uczciwości. Trudno, trzeba się nauczyć i tego „ustawiania przeciwników plecami do siebie,“ i tego „postępowania po linii prostej lub krzywej,“ i walczenia na pałasze „bez pchnięć i z pchnięciami“ — w wieku 20 którymś istnienia cywilizacyi! P. Bartoszewicz przytoczył *za* i *przeciw* wiele zdań, z pomiędzy których najniedorzeczniejszem wydaje mi się mniemanie Benthama, że „pojedynek jest uzupełnieniem braków w prawodawstwie.“ Najrozumniejsze prawodawstwo nie wyznaczy kary za zabranie komuś w tańcu panny, o co przecie człowiek „honorowy“ strzelać się musi. Według mnie pojedynek jest skamieniałością obyczajową owych czasów, kiedy przodkowie nasi pozostawali w bezpośrednim pokrewieństwie z zaginionymi antenatami rodu ludzkiego, znieważanymi i krzywdzonymi często przez szympansé i goryle. Powtarzam jednak — skoro „opinia“ każe być małpoczłowiekiem, trzeba być małpoczłowiekiem.

Czytelnicy moi znają dobrze naszego serdecznego przyjaciela E. v. Hartmanna, filozofa „nieświadomości,“ który od pewnego czasu pracuje nad uświadomieniem niemcom korzyści z wytępienia polaków. Otóż temu panu, który gardząc sławą a nawet życiem, wydawał bezimiennie broszury, niby polemiczne a właściwie wychwalające jego teoryę, który z oszustwa filozoficznego zrobił sobie rzemiosło — temu panu zdarzył się przykry bardzo wypadek: wydano krytykę słynnego Mainländera o jego *Philosophie des Unbewussten*, odsądzającą to dzieło od czci i wiary, zaliczającą je do szwindlów partackich. Ponieważ Hartmann uważa się za następcę Schopenhauera, którego uczniem był Mainländer, ponieważ obaj służyli kiedyś w wojsku, więc powód i racya do pojedynku są dostateczne. Ale na nieszczęście Mainländer umarł przed 10 laty i chłoszcze „szkodnika“ z za grobu. Dla szczura walka z martwym lwem bezpieczna, ale zwycięztwo nigdy zaszczytne. To też jeden z dzienników niemieckich przypuszcza, że po tym ciosie filozof „nieświadomości“ już się nie podniesie. Na szczęście dla podźwignięcia się pozostaną mu jeszcze polacy, których będzie mógł dalej „ausrotten.“ Ale jeżeli dawniej występy p. Hartmanna mogły nas gniewać, to dziś po krytyce Mainländera powinny nas cieszyć. Nienawiść a nawet łajanie ze strony takiego zucha sprawia osobną przyjemność. Henryk III angielski każdemu, kto go pobudził do śmiechu, kazał wypłacać talara. P. Hartmannowi talara nie dam, bo on ma ich zapewne dosyć z funduszu gadzinowego, ale dam na pomnik Mainländera, jeśli kiedy stawianym będzie.

Urodzaje roku bieżącego zapowiadają się bardzo świetnie — nawet w literaturze. Jak wiadomo, konkurs dramatyczny dał nam $1\frac{1}{2}$ geniusza, a jeszcze nie powinszowaliśmy sobie wzajem tego błogosławieństwa, gdy spadło na nas nowe. Jednemu z wydawców (człowiekowi wielce szanowanemu nietylko za katolicyzm uprawiany w wyznaniu żydowskiem, ale i za znaczne kapitały) urodził się syn. Nie mam przyjemności znać tego dwuręcznego świecznika naszej literatury, ale musi on jej wiele obiecywać, skoro na licznem zebraniu uczczono go kantatą, odśpiewaną przez artystów, do której wiersze napisał znany poeta a muzykę znany kompozytor. Tak, wysoko, proszę państwa, nosi się u nas literacki honor! Śmieliśmy się z dworaków zeszłego wieku, opiewających szumnymi rymami uroczystości swych panów; śmiejemy się z magnatów, przeceniających swoje potomstwo; wobec tego pokłonu muz przed kiesą mieszczańską należałoby się chyba tak śmiać, że przybyłby nam nie — jak obliczał Sterne — jeden dzień, ale rok życia. A jednak hołdy złotemu cielcowi należą jeszcze do kultu naszej epoki. Pieniądz dotąd jest siłą, wiedzą, sumieniem, zasługą — wszystkiem. Dziecko biedaka nie otrzyma darmo chrztu, syn bogacza w pieluchach będzie powitany kantatą. Do jego kołyski pospieszą poeci, muzycy i śpiewacy skwapliwiej, niż do trumny dobroczyńcy. Powiadają, że pieniądz jest pysznym, zuchwałym, bezczelnym — dziwiłbym mu się bardzo, gdyby był innym — względem swych czcicieli.

W potrzebie wyraża on nawet miłość ojczyzny. P. Mierzwiński prosił o zaszczyt śpiewania na balu dworskim w Berlinie. Pani Kochańska, (która ze zdumieniem usłyszała w Warszawie, że „*Politik* und *Musik*“ rymują się), nie chciała taniej dogodzić swemu publicznie kiedyś wypowiedzianemu uczuciu, że „najmilej śpiewać swoim,“ jak za 2,000 rs. od występu. Urażona nieco owym złym rymem, pojechała do „swoich“ w Poznaniu. Tam gdy wciągu dwu dni nie rozkupiono biletów, odwołała koncert zagniewana i powędrowała do istotnych „swoich,“ tj. tych, którzy dobrze płacą. A wielbiciele „słowika nadwiślańskiego“ sądzili, że to oni stanowią drogi jej sercu naród. Nigdy roztropny człowiek nie przyznawaj się do kuzynowstwa, mając chudą kieszeń, a jeżeli ją napełnisz, możesz wezwać cały Olimp z Apolinem do odśpiewania kantaty dla twego nowo-rodka, który, dorośleszy, będzie tylko sprzedawał ususzone liście wawrzynu lub odcinał kupony.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Powódź. — Dobre serca. — Zapomniany legat. — Barbarzyństwo pp. zawiadowców. — Witaj nam miły hospodynie.— Kilka projektów. —Pocieszający objaw.

W dzisiejszych ciężkich czasach, kiedy nawet *Kuryer warszawski* pozwala sobie wątpić o przepowiedni Nostradamusa, nie wypada prorokować przyszłych klęsk. Istnieją wszakże pewne dane, które zniewalają mnie do twierdzenia, że w roku bieżącym nie cały świat wprawdzie — ale nadwiślańska jego cząstka *vae clamabit*. Lada dzień oczekiwać można wieści o powodzi i jest ona prawie nieuniknioną, zwłaszcza, że dotychczas nie przedsięwzięto odpowiednich środków, żeby zapobiedz katastrofie, albo przynajmniej osłabić jej doniosłość. Właściwie dopóki bieg rzeki nie zostanie uregulowanym, w miejscowościach nizinnych nie będą zbudowane tamy, wylewy nie przestaną nam grozić. Dziś już zapóźno mówić o tem, co należało uczynić, można jednak było zawczasu usunąć ludność i dobytek z zagrożonych wiosek, naprawić wały ochronne, przygotować środki ratunkowe. Coś, w drobnej części robi się i teraz, artylerya wystrzałami z dział rozbijać ma zatory, strażnicy ziemscy otrzymali polecenie ostrzegania ludności i wypełniają gorliwie ten rozkaz, przemawiając do rozsądku i serca przyszłych powodzian rozmaitymi argumentami. Ale wszystko to robi władza administracyjna, społeczeństwo zaś, o którego życie i mienie członków w danym razie chodzi, czeka cierpliwie „nakazu“ czy to policyi, czy żywiołów. Przestaliśmy już być mądrymi nawet po szkodzie. No, ale za to mamy dobre serce, złożymy składki, wydamy jednodniówkę i jakoś tam będzie.

Tak, mamy dobre serca. Oto np. jakiś obywatel w Kaliskiem bolał długo nad tem, że poziom moralny ludu naszego jest tak niskim, wreszcie wyczytał gdzieś, może w *złotych listkach*, że muzyka łagodzi obyczaje. Aforyzm ten stał się dlań objawieniem i niewiele myśląc, filantrop postanowił założyć — szkołę muzyczną dla włościan, chociaż przyszli uczniowie tego wiejskiego konserwatoryum nie przechodzili zapewne żadnej innej.

Jeszcze większą czułość wykazała jakaś czcigodna matrona z Kujaw. Zacna ta osoba posiadała faworyta kota, kiedy zaś ten zdechł, wyprawiła mu suty pogrzeb. Najęte dzieci chłopskie szły za trumną i musiały płakać, a przynajmniej udawać płacz. Pisma traktują tę wiadomość ze strony humorystycznej, ale postępek starej dziwaczki należy sądzić poważniej, chociażby z tego względu, że demoralizuje on dziatwę wiejską, pokusą wynagrodzenia ucząc ją kłamstwa. Takie to kaprysy pańskie rzucają właśnie w dusze ludu ziarno, z którego potem wschodzą plony nieufności, zemsty i nienawiści. Jedyna nadzieja w tem, że sąsiednia szkoła muzyczna złagodzi tymczasem jego obyczaje.

Od czasu do czasu znajduje się u nas człowiek z prawdziwie dobrem sercem, który nie szczędzi ani pracy ani mienia dla wprowadzenia w czyn szlachetnych zamiarów, ale w kilka lub kilkanaście lat po jego zgonie poczciwe zamiary marnieją i myśl zapisodawcy wyradza się lub umiera. Wiemy, jaki los spotkał szerokie pomysły Staszyca, jakim zmianom uległy instytucye stworzone przez Brzozowskiego, obecnie *Gazeta radomska* podaje wiadomość o zniweczeniu usiłowań, podjętych na mniejszą skalę, ale równie szlachetnych.

Przed dwudziestu kilku laty obywatel ziemski Krasuski, właściciel dóbr Grzmiąca, zapisał dom i 12.000 rs. na utrzymanie ochrony dla 12 ubogich dzieci chłopskich. Przez pewien przeciąg czasu ochrona istniała, ale już od lat 6 nie ma jej wcale, a w budynku, przeznaczonym na mieszkanie dla dzieci, chowają się prosięta parobków dworskich. Jakkolwiek testator zostawił liczną rodzinę, żaden z jego następców nie dba dzisiaj o wykonanie zapisu. Dopóki majątek był w ich rękach, jako tako utrzymywali ochronę, ale dziś, kiedy sprzedali dobra, nie interesują się tem wcale, czy instytucya owa istnieje i pozwalają nowonabywcy robić, co mu się podoba. Nadto pewność sumy zahypotekowanej na majątku zmniejsza się ciągle, ponieważ część dóbr odprzedano, a las wycięto. Spadkobiercy Krasuskiego patrzą obojętnie na to bezprawie i nie przedsiębiorą żadnych starań, żeby przywrócić wykonanie testamentu. Znamy liczne wypadki, w których chciwość sukcesorów nie cofnęła się przed zgwałceniem ostatniej woli zapisodawcy, ale w danym razie nawet interes osobisty nie tłomaczy tego zaniedbania. Po prostu nikt nie chce brać na siebie kłopotu i legat marnieje bez użytku, a wkrótce może śladu po nim nie zostanie.

Już nie o dobre serce, ale o zachowanie przepisów kolejowych skarżą się pasażerowie dróg żelaznych, których podczas ostatniej zamieci pp. zawiadowcy wypędzali ze stacyj. W *Gazecie radomskiej* opowiada p. L. N., że przybywszy do Ostrowca, dowiedział się, iż pociągi nie chodzą, postanowił tedy oczekiwać przywrócenia ruchu. Tymczasem zawiadowca wypędził go z sali pasażerskiej i biedny podróżnik, człowiek słaby, musiał pójść pieszo do Ostrowca, oddalonego o kilka wiorst od stacyi, podczas strasznej zawiei tułać się po polu, torować sobie drogę przez zaspy śnieżne, wskutek czego zachorował obłożnie. W podobny sposób postąpił także z podróżnymi p. naczelnik stacyi w Kutnie, ale ci przynajmniej bliżej mieli do miasta. Powtarzamy tu, że przepisy kolejowe przewidują okoliczności, pozwalające pasażerom oczekiwać następnych pociągów na stacyi, ale gdyby nawet istniał bezwzględny zakaz, moc jego ustać winna podczas wypadków nadzwyczajnych. Zamieć zmusiła pasażerów do odbycia kwarantanny, wstrzymując bieg pociągów, niedołęstwo zaś lub skąpstwo zarządów kolejowych przedłużyło ją nieraz przynajmniej o kilkanaście godzin.

Zamieć zatrzymała również w Koluszkach dzielnego „pułkownika“ Rogozińskiego. Widocznie jakieś złośliwe fatum stawia ciągle przeszkody naszemu wędrowcowi. Wybrał się on zwiedzić góry Liba i nie dojechał, czy też — jak mówią obrońcy polsko-afrykańskiej wyprawy — nie puścili go niemcy. Kto wie, ażali chytry Bismark nie wymyślił zawiei, żeby nie dopuścić do Kalisza potężnego władcę Bakwiri czy Makwiri i opóźnić chwilę wykonania polsko-kameruńskiego odwetu. Ale śmiały pułkownik, chociaż stracił Łucyę-Małgorzatę, oraz zostawił w Warszawie wiernego Sancho-Pancha, pokonał zwycięzko wszystkie przeszkody i stanął wreszcie w mieście rodzinnem, jako uwieńczony tryumfator. Że tytuł ten nie jest przesadą, świadczy odezwa *Kaliszanina*, który woła do Stefana Afrykańskiego: „witaj nam, witaj, miły hospodynie.“ Kiedyś witano w ten sposób odnowiciela państwa polskiego i okrzyk ten zachowywaliśmy sobie na przyszłość, ażeby użyć go w odpowiedniej chwili. Oczekiwana ta pora widocznie dziś nadeszła i entuzyastyczny *Kaliszanin*, który zwyczajnego pruskiego klechę porównał niedawno z Hozyuszem, awansował p. „pułkownika“ na bohatera narodowego. Prędko idzie w górę p. Rogoziński, niedawno był jeszcze skromnym miczmanem, wkrótce potem jedno z pism zrobiło go pułkownikiem, później wszedł w bliższe stosunki z królem Belą, który wprawdzie nie ma spodni, ale posiada koronę, obecnie zaś został „hospodynem“ miasta Kalisza z okolicami. Dodać trzeba, że w przerwach między temi nominacyami wyłożył murzynom znaczenie dziejowe bitwy pod Wiedniem, obalił słup z napisem niemieckim i założył Towarzystwo geograficzne w Krakowie...

Ponieważ „miły hospodyn,“ jeżeli się nie mylę, jest członkiem Towarzystwa wioślarskiego, którego filią, według najnowszego projektu, ma być towarzystwo geograficzne, spodziewać się możemy, że rozpoczną się wkrótce u nas badania krajoznawcze. Pod światłem przewodnictwem uczonego miczmana, odpowiednio przygotowani do czynienia spostrzeżeń wioślarze przystąpią żwawo do roboty. Trzeba tylko, żeby dzielny podróżnik odstąpił nieco od przyzwyczajeń afrykańskich i nie trzymał się wyłącznie wybrzeża, ale odbywał także wyprawy wgłąb kraju, bo inaczej poznamy tylko porzecze Wisły. Aby uniknąć złośliwych intryg niemieckich może zresztą ominąć Łódź i Sosnowice.

Jeżeli „dziarscy wioślarze“ przez zbytnią skromność nie zechcą zostać geografami, statystykami, antropologami itd. możemy obowiązki te powierzyć członkom powstającego „klubu świętokrzyskiego,“ który będzie robił wycieczki do gór tego nazwiska. Nie mam nic przeciw tego rodzaju klubom, owszem uznaję chętnie ich pożyteczność, ale trudno mi obronić się od myśli, że taką właśnie sumą starań i pieniędzy moglibyśmy stworzyć prawdziwe i poważne towarzystwo geograficzne, które bądź co bądź dałoby nam sposobność zbadania kraju, niewiele więcej znanego jego mieszkańcom, niż wybrzeże kameruńskie. Ale my bez zabawy obejść się nie umiemy i ręczę, że prędzej będziemy mieli nietylko klub świętokrzyski, ale nawet sasko-kępski lub czerniakowski, aniżeli towarzystwo geograficzne. To ostatnie przydać się może narodom, które pragną poznać się dokładnie, my zaś nie jesteśmy bynajmniej ciekawi, a kto wie, czy nie obawiamy się nawet trochę podniesienia zasłony, kryjącej wnętrze naszego życia. Bo oto kiedy jaki silniejszy powiew uchyli od czasu do czasu jej rąbek, spostrzegamy tam nieraz takie rzeczy, o których pragnęlibyśmy jak najprędzej zapomnieć.

Zapomnijmy więc i my, a natomiast zaznaczmy pocieszający objaw ruchu umysłowego w Piotrkowie. *Tydzień* donosi, że znalazł się w tem mieście mąż niepospolicie uczony, który opracował dzieło: *o sztuce gry w winta*. Pomnikowe to wydawnictwo wyjdzie niebawem z druku, dzięki obywatelskiej ofiarności nakładcy. *Tydzień* obawia się jednak, że książka nie znajdzie nabywców, gdyż u nas w ogóle poważne dzieła mało mają popytu. Sądzę, że obawa ta okaże się płonną i ten chwalebny zwrot ku gruntownym studyom znajdzie chętnych opiekunów i naśladowców.

J. Nieborski.

PRASA ROSYJSKA.

Niediela pomieszcza obszerny list z Warszawy p. t. *Źródła nieporozumień rosyjsko-polskich*, z którego dajemy kilka ciekawych wyjątków:

„W Europie jest dużo państw, w których kwestye wewnętrzne, narodowo-polityczne grają taką samą rolę, jaką u nas odgrywa kwestya polska. Ale w żadnem państwie stosunki między panującym i podwładnym narodem nie przyjmują takiej formy i kierunku, jak u nas w Rosyi. Wszędzie, rzecz prosta, naród podwładny nie kocha wcale panującego, kierowniczego, wszędzie widać dążność stworzenia sobie swego własnego kącika, strzeżenia go bardzo zazdrośnie i stronienia od „obcego;“ lecz nigdzie to nie dosięga takich rozmiarów i nie przyjmuje tak nienormalnych form, jak u nas w Rosyi. W Europie nieporozumienia powstają z rzeczywistych, realnych faktów, jasnych i jawnych dla wszystkich i dla każdego, u nas trudno określić, co może wywoływać nieporozumienia, kiedy i wśród jakich okoliczności one mogą powstawać i jaką przyjmą formę.“

Przytoczywszy kilka przykładów nieporozumień lub złej woli obu stron, autor zwraca się do polaków:

„Lubicie powoływać się na historyę i traktaty i na nich opierać swe prawa i swe teorye polityczne. Jest to narzędzie obosieczne, kij o dwóch końcach. Trzeba postarać się o inny punkt oparcia, który zresztą został już znaleziony przez życie i naukę. Tym punktem jest: *plemię*. Otóż z tego punktu widzenia plemiennego, etnograficznego i antropologicznego, wy macie wszystkie prawa a my mamy pewne obowiązki. Prawa te mają źródło w naturze ludzkiej, którą jak chcesz niszcz, nie zniszczysz jej nigdy, i dlatego lepiej dać jej pokój i pozwolić na rozwój według praw przyrodzonych.“

„Cała kwestya zdaje się polega na tem, że i my i polacy w Europie wschodniej przez długi czas byliśmy narodami panującymi, przywykliśmy do panowania i przewodzenia nad swymi sąsiadami słabymi — a teraz kiedy siła okazała się po naszej stronie, u polaków zaś zostało tylko wspomnienie o tej sile — nie możemy się zrozumieć. Nowa zasada, zasada narodowościowa, wysunięta przez historyę i życie, nie przypada do smaku ani nam, ani polakom — historya popsuła oba narody.“

Nowoje Wremia zamieszcza ciekawą bardzo korespondencyę z Warszawy, w której czytamy:

„Na porządku dziennym w publicystyce polskiej są teraz różne, a niepozbawione interesu pogłoski o zamyślanych jakoby planach co do zarządu i ustroju Królestwa Polskiego. Rozumie się, że za prawdopodobieństwo tych pogłosek ręczyć nie można, chociaż należy podziwiać umiejętność polaków dobywania tak prędko (a czasami też i zmyślania) tajemnic, niedostępnych dla prostych śmiertelników z prasy rosyjskiej. I tak tenże sam *Dziennik poznański* donosi o ustanowieniu w Petersburgu osobnego komitetu do spraw Królestwa Polskiego, pod przewodnictwem pewnej, wysoko postawionej osoby, dla dalszego asymilowania kraju z pozostałą Rosyą, a to przez wprowadzenie ziemstwa, sądu przysięgłych, oddzielenia zarządu cywilnego od wojennego itd. Traktując podobne wiadomości z niezmierną ostrożnością, musimy przecież przyznać, że pewne reformy są w kraju niezbędne. Wyodrębnienie zarządu cywilnego i obsadzenie go przeważnie urzędnikami rosyjskimi, przy ścisłej kontroli ich prawomyślności politycznej i obyczajowej, mogłoby stać się pierwszym krokiem do innych ulepszeń. Niedawno temu, ze słów jednej z gazet moskiewskich przytoczyliśmy pogłoski o działalności komisyi, rewidującej prawa i przywileje urzędników rosyjskich w tym kraju, z celem jakoby ich ograniczenia. Mówią nawet o zatamowaniu „napływu“ urzędników rosyjskich do Królestwa Polskiego i to wtedy, kiedy i tak już w miejscowej administracyi jest wielu polaków, zarządzających nawet sprawami włościańskiemi (?). Chyba obecnie nie czas po temu, aby mówić o zniesieniu nadanych w r. 1867 urzędnikom rosyjskim przywilejów, które zdobywają się w tym kraju nie na różach, ale zupełnie na czasie jest wymaganie najczujniejszej baczności, a nawet osobistego nadzoru ze strony wyższej miejscowej władzy nad wszystkiem, co dotyczy służbowej moralności zarówno rosyjskich jak i polskich urzędników, dla zapobieżenia nieprzychylnym sądom, jakie się dają szczególnie słyszeć od czasu znakomitego procesu biłgorajskiego. Figurowały w nim nazwiska polskie i żydowskie, ale tem właściwiej będzie postarać się, aby nawet cień podejrzenia nie mógł paść na jakiekolwiek nazwisko rosyjskie. O nowym sądzie,

ani też o ziemstwie mówić teraz nie będziemy, ale zwrócimy uwagę na to, że dla wprowadzenia tego ostatniego w kraju, należałoby koniecznie sprawdzić obecne położenie gminy, zarządu włościańskiego, do którego nasza gazeta nieraz w ostatnich czasach powracała: dopiero po utrwaleniu samorządu włościańskiego można mówić o czemś dalszem w kraju, który jeszcze niezbyt dawno temu przeszedł silne wstrząśnienia. Nie mówimy już o innych kwestyach, prześlizgujących się niekiedy po powierzchni gazet i potem znowu znikających; takim jest np. projekt wydzielenia chełmskiej Rusi, jako osobnej gubernii, projekt reformy wiejskiej itp.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Kasa Mianowskiego ofiarowała drowi Bujwidowi (który jej kosztem pracował zeszłego roku u Kocha) fundusz na wyjazd do Pasteura dla poznania badań znakomitego uczonego, a zwłaszcza jego metody ochronnego szczepienia wścieklizny. Przy sposobności notujemy, że Pasteur stawał przed sądem, oskarżony o leczenie bez dyplomu. Sąd naturalnie uwolnił go od odpowiedzialności, a fakultet paryski ma przyznać odpowiednie świadectwo wielkiemu badaczowi, ażeby go zabezpieczyć od takich nędznych napaści zazdrosnych „kolegów.“

Mniemany „Paszkwil.“ W jednym z poprzednich numerów *Prawdy* na podstawie listu prywatnego wspomnieliśmy o pewnym księdzu, który żałując koni, od aptekarza, gdzie grał przez wieczór w karty, kazał się zaciągnąć saniami do domu — kościelnym dziadom. *Kuryer warsz.*, nie sprawdziwszy samego faktu, ogłosił, że jest to „paszkwil,“ z którym i do niego ktoś pod przybranem nazwiskiem wójta gminy pukał, ale zawiedziony zwrócił się do *Prawdy*, która mu drzwi swoje gościnnie otworzyła. Na razie zaprzeczyliśmy tylko, że autorem naszego doniesienia nie był żaden „wójt gminy,“ lecz niejaki Waludzyński. Gdy wszakże *Kuryer* poświęcił tyle trudu, że w Biurze adresowem nietylko wykrył nieistnienie osoby takiego nazwiska, lecz nawet zbadał wszystkich Waluszyńskich, a właściwą część sporu starannie omijał, odnieśliśmy się listownie do jednego z naszych abonentów, który nam prawdę doniesienia całkiem stwierdził. Wzmianka więc nasza nie była echem „paszkwilu,“ a natomiast wystąpienie *Kuryera* było lekkomyślną napaścią. Równocześnie i on sam otrzymał przyznanie faktu, ale, naturalnie, w takiem oświetleniu, że „dziadkowie kościelni ciągnęli sanki na plebanią śmiejąc się i żartując“ i że „w podobny sposób wozi się co dzień tyle starców i chorych.“ Możnaby tu zaznaczyć, że dziadkowie kościelni są również starzy i do zaprzęgu się nie nadają, że „paręset kroków“ mógł pieszo przejść „sędziwy starzec, „słabego zdrowia,“ skoro przez wieczór starczyło mu sił na grę w karty; ale nie rzucajmy cieniów „paszkwilu“ na ten jasny obrazek czcigodnego plebana, ciągnionego przez „dziadków.“ To tak piękna sielanka zimowa!

Nordd. Allg. Ztng zaprzecza pogłosce, jakoby dwór włoski wstawiał się za Kraszewskim i skutkiem niepowodzenia ochłódł dla rządu niemieckiego.

Nadzór. Minister oświecenia polecił, aby dla ustanowienia ścisłego nadzoru nad wychowańcami zakładów naukowych po za obrębem szkoły, z funduszów każdego zakładu asygnowaną była suma 300—600 rs. rocznie. W tym celu pozwala się podwyższyć opłatę wpisową.

Akuszerki. Dla wypracowania projektu reformy wykształcenia akuszerek w Królestwie utworzony został komitet pod przewodnictwem dra Waltera, inspektora szpitali warszawskich. W skład komitetu wchodzą b. prof. dr Tyrchowski, prof. akuszeryi Jastrebow, docent Neugebauer, dr Kobylański, dr Rosenthal i dr Grandilewskij.

Normalna ustawa dla towarzystw gospodarczo-rolniczych wkrótce zostanie ogłoszoną. Pozwolenie zawiązania towarzystwa zależeć będzie od gubernatora.

Prasa polska. Pierwszy numer pisma specyalnego p. t. *Pszczoła* wyszedł z druku.

Szkoły. W 9 gimnazyach i 4 progimnazyach męzkich okręgu naukowego wileńskiego, obejmującego 6 gubernij, znajduje się 4,856 uczniów, w tej liczbie 1787 katolików, 1763 prawosławnych, 1,065 żydów i 241 innych wyznań.

Konkurs. Towarzystwo sztuk pięknych w Krakowie wydaje album, złożone z reprodukcyj utworów malarzy polskich, umyślnie w tym celu wykonanych. Najlepsza akwarella otrzyma 300 złr. nagrody, dwa rysunki 250 i 150 i projekt okładki 150 złr. Prace nadsyłać należy przed 15 maja r. b. na koszt Towarzystwa i pod jego adresem.

Bank ziemski w Wilnie obniżył stopę procentową z 6% na 5%, na administracyę zamiast 1%, pobierać będzie nadal $^3/_4$%, a na umorzenie zamiast $^1/_2$%, tylko $^1/_4$%. Tym sposobem procent od pożyczek ziemskich z $7^1/_2$% obniżony został do 6% rocznie.

Prokurator-rozbójnik. Kanclerz prokuratoryi w Neapolu, urzędujący od lat 8, był... rozbójnikiem. Skazany on został kiedyś na 20 lat więzienia za zabójstwo, ale uciekł z galer, zmienił nazwisko i został głośnym prawnikiem. Właśnie posunąć się miał wyżej w hierarchii urzędowej, kiedy go zdemaskowano.

Przyczyna i skutek. W ostatnim kwartale 1885 r. wyrzucono w Irlandyi 369 rodzin dzierżawców. W tym samym czasie dopuszczono się 270 zbrodni i występków agrarnych.

Towarzystwo pomocy naukowej w Poznańskiem miało w r. z. 72,088 marek dochodu, z którego otrzymywało 168 stypendyatów i udzieliło wiele zapomóg drobnych. Zapisy na rzecz Towarzystwa wyniosły w r. z. 40,000 marek.

Zmarli. Kleczkowski, znany oryentalista, niegdyś poseł francuski w Pekinie, ostatnio profesor szkoły języków wschodnich.

— Julian Schmidt, historyk literatury niemieckiej.

— Maks Wolff, kompozytor muzyczny.

— J. Marwicz, biskup chełmiński, rodem kaszuba.

— Bohdan Zaleski, znakomity poeta polski.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Jul. Jan. a), b), c) — w tym roku; d) podobnego nie ma; e) nie ma — myślimy o tem.

W. H. Otrzymują rabatu 10% — miesięcznie można.

Jednemu ze skrzywdzonych. Bez wątpienia, wymagania od chórzysty nietylko pracy, ale i „humoru“ za tak niską pensyę jest niesprawiedliwem; sprowadzanie na 400-rublową posadę cudzoziemca — niesłusznem, ale skądże my możemy ufać prawdzie pańskiej skargi, kiedy pan nam nie zaufał, okrywając się bezimiennością!

P. J. B. w Zaw. Demombynes'a: „Les constitutions européennes,“ dwa tomy.

Dr H. K. Małeckiego.

P. Z. Hor. w Kor. Bez przesyłki 5 rs.

P. A. Zb. w Kaz. Tyleż, co cała, bo zeszyty wyczerpane.

OFIARY.

Na wpis dla uczniów. J. H. rs. 10; W. B. z Lebiedynia rs. 5.

Dla studentów uniwersytetu warszawskiego. J. H. rs. 10.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 21 Марта 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.